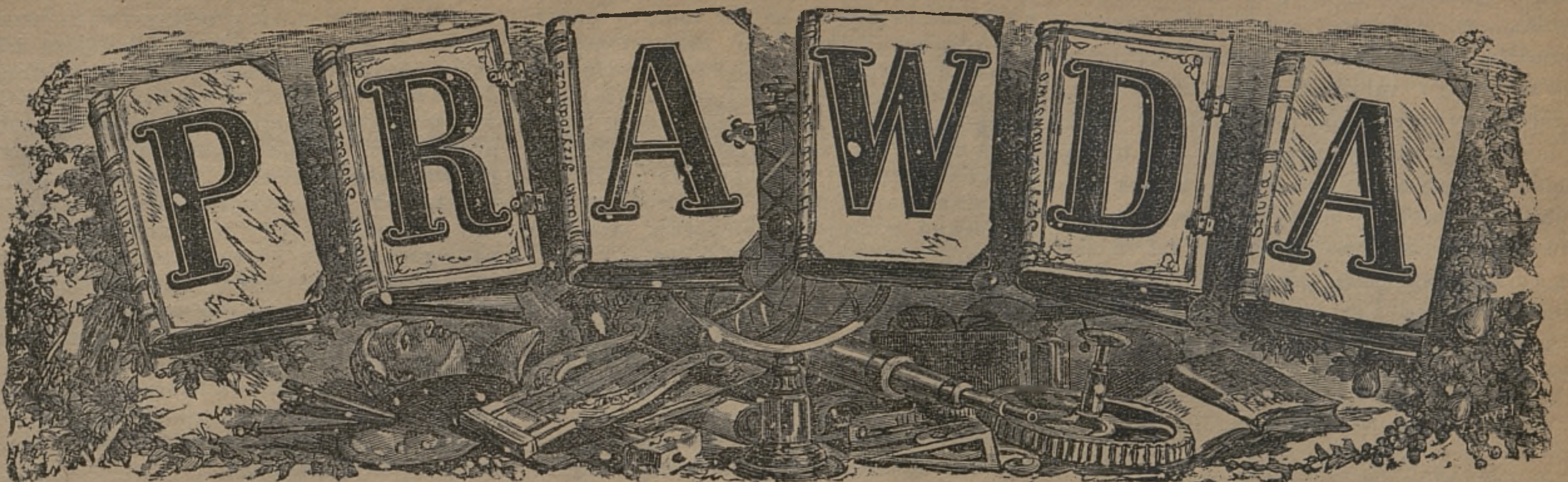
№ 36. Warszawa, dnia 8 Września (27 Sierpnia) 1883 r. Rok III.



TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY" (wraz z bezpłatnym dodatkiem)
W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rs. 2, rocznie rs. 8 z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. 2 k. 50, rocznie rs. 10.

Adres Redakcyi i Administracyi Włodzimierska Nr. 2.

Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya Prawdy oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedyńczych numerów po kop. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach, w Petersburgu w Księgarni Ungra, Plac Kazański Nr. 7.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 6 za wiersz lub jego miejsce.

Prosimy szan. abonentów naszych o wczesne zapisywanie się na kwartał czwarty dla uniknięcia opóźnień w przesyłce pisma.

Nić czerwona.

Charakterystyczną cechą wszelkich rewolucyj jest trudne do ujęcia ich powikłanie. Pierwsza wiadomość wskazuje zawsze jakąś ściśle określoną, nieraz błahą przyczynę, ale dalszy rozwój wypadków przekonywa, że w ich łańcuchu zczepiają się najrozmaitsze ogniwa, że od jednej iskry zapalają się współcześnie najrozmaitsze materye wybuchowe. Płomień walki politycznej, szybko przenosi się na pole stosunków spółczesnych, religijnych, plemiennych, i nagle obraz pożaru, który wydawał się miejscowym, rozszerza swe ramy i ogarnia cały widnokrąg życia. Dostrzegamy to najwyraźniej w roztaczaniu się zamieszek austro-węgierskich. Pomimo dość długiego ich ciągu i równoczesnego na wielu punktach wystąpienia, opinia publiczna daremnie trudzi się nad wynalezieniem wspólnej dla nich sprężyny. Tu robotnicy burzą się przeciw kapitalistom, tam madziarowie biją żydów, gdzieindziej znowu chorwato-słoweńcy — madziarów; w pierwszym wybuchu działają przyczyny ekonomiczne, w drugim ukazują się plemienne, w trzecim — polityczne, a wszystkie ciągle plączą się i łącznie działają. Jest że to związek przypadkowy, czy też może owe najrozmaitsze strumienie rewolucyjne mają wspólne źródło? Niewątpliwie zachodzi przypadek ostatni. Nie mówimy tu naturalnie o wspólności psychologicznej, która wszelkie bunty sprowadza do jednego uczucia niezadowolenia, ale mamy na uwadze ową nić czerwoną, która się przewija przez wszystkie pasma nowoczesnych rozruchów — nić społeczną. Pomijając manifestacye socyalistyczne, w których ten pierwiastek jest dla każdego widzialnym, zapytajmy: czem antisemityzm węgierski usprawiedliwia swe okrucieństwa względem żydów? Ich wyzyskiwaniem, przewrotnością w stosunkach handlowych, opanowaniem wszystkich interesów materyalnych — czyli — wadami kapitalizmu. Jeżeli uprzytomnimy sobie atmosferę moralną czasu, w którym żyjemy i który, bądź co bądź, rozbojów nie rozgrzesza i na uliczne gwałty dyspensy nie daje, to bez pamięci o szeroko i wszędzie posianej nienawiści do ustroju kapitalistycznego trudno byłoby zrozumieć barbarzyńskie sceny, jakie się obecnie rozgrywają w Węgrzech. Na 13 milionów ludności tego kraju, na 5 milionów madziarów, pół miliona żydów — to proporcya przecie jeszcze nie tak groźna, ażeby zdołała pobudzić do dzikiej walki. Dodać należy, że żywioł panujący posiada wszystkie środki ubezpieczenia się i asymilacyi, że nie jest skrępowany w ruchach i skazany na noszenie w swem wnętrzu obcej masy etnologicznej, której do swego organizmu zastosować nie może.

Skąd więc ta wściekłość w napadach, te procesy tisza-eszlarskie, te morderstwa, grabieże?

Na to pytanie odpowiada tylko Marx, Lassalle, albo też ich świadomi i nieświadomi apostołowie.

Zdawałoby się, że zatarg kroacko-madziarski pozbawiony jest zupełnie pierwiastków społecznych, a jednakże i w nim pomału one na wierzch wychodzą. Pierwsze telegramy mówiły o nienawiści do madziarskich szyldów rządowych, ale ostatnie mówią o oporze przeciw zbyt uciążliwym podatkom. I znowu *hier liegt der Hund begraben*. Jeżeli zważymy, że chorwato-słoweńcy, chociaż zależni od Węgier, posiadają prawie zupełną autonomię, swego namiestnika (bana), swój sejm, swoich przedstawicieli w Peszcie i Wiedniu, swoje organa administracyjne i sądowe, swoje szkoły, to wyda nam się zagadkowem: skąd ludność, ostatecznie w swych potrzebach narodowych dosyć obficie zaspokojona, posiadająca to, o czem inne ludy marzyć nie śmią, mogła wybuchnąć tak strasznym gniewem na... znaki i herby madziarskie, że go nawet strzały i bagnety dotąd ugasić nie zdołały? Jeżeli zaś jedna z zagranicznych gazet polskich powiada, że umysły w Kroacyi „wzburzone są butą i bezwzględnością węgierską" i że hasłem rokoszu jest: „raczej zginąć od razu, niźli zwolna umierać" — to są tylko dziennikarskie frazesy, zapominające o drobnych pewnikach, że „buta i bezwzględność" nie wywołują rewolucyi i że naród, posiadający siły żywotne, nie potrzebuje „zwolna umierać" w takich warunkach, w jakich się znajdują austryaccy słowianie.

Już w Wiedniu odbyły się narady ministrów nad środkami stłumienia buntu. Gdyby w tych naradach uczestniczył Machiavelli niezawodnie zalecałby ustępstwo na punkcie... szyldów, które osłabiając pretekst walki, uśmierzyłoby do pewnego czasu jej wybuchy. Że nie zapobiegłoby jej odnowieniu się, prędzej czy później, nie ulega wątpliwości, dopóki przez życie narodów przewija się czerwona nić interesów i waśni społecznych. Chorwaci i ich bracia, zadowoleni w kwestyi herbów i znaków urzędowych, wynajdą sobie inne powody do buntu, wyswobodzeni z pod panowania węgrów — zaczną się drzeć między sobą, rozdzieleni według plemion i wyznań — wystąpią do boju ekonomicznego i wtedy dopiero rozpoznają jasno grunt, którego w dzisiejszym starciu pod stopami swemi nie widzą. Bo i oni zapewne, jak wiele społeczeństw a nawet wodzów

pod najrozmaitszymi tytułami toczonych walk, w znacznej części nie uświadamiają sobie rzeczywistych przyczyn gwałtownego targania się, owego prądu, który porywa i stapia najrozmaitsze ideje i uczucia a który przeniknął całą naszą epokę. Zawiści relijne dziś już mas nie rozpalają, swobody polityczne weszły w życie całej niemal Europy, główną zatem siłą, tylko wspieraną przez inne, pozostaje sieć interesów i stosunków społecznych. Na tej kanwie los naszego okresu wyszywa jego historyę.

PRZYCZYNEK DO STATYSTYKI MORALNOŚCI.

Nie podobna na zasadzie tak szczupłego materyału cyfrowego, jaki przedstawia *Sprawozdanie* Sądu Okręgowego Warszawskiego *), nakreślić chociażby szkicowego obrazu stosunków moralnych. Wogóle t. z. statystyka moralności, opierająca się wyłącznie prawie na wykazach przestępstw, nie daje nam pewnych podstaw do wyrokowania: oświeca bowiem jedną tylko stronę działalności społecznej, uwzględniając jedynie ujemne jej przejawy. Zresztą nawet liczebna proporcya przestępców do ogółu ludności niczego właściwie nie dowodzi, bo nieraz jest ona wynikiem rozmaitych przyczyn. Dopiero zestawienie sprawozdań kryminalnych z innemi danemi prowadzi do pewnych mniej więcej określonych wniosków, chociaż i w tym razie pochopność w wyciąganiu ich i uogólnianiu usprawiedliwioną być nie może. Ale my i tego jednostronnego światła jesteśmy pozbawieni i nietylko o *creditach* ale i o *debetach* naszego moralnego bilansu nie mamy żadnego pojęcia. Masa przewinień, podlegających wyrokowaniu sądów pokoju i gminnych, nie jest wcale zapisywaną, a przynajmniej ogłaszaną, a właściwie te wykroczenia charakteryzują najlepiej moralny stan społeczeństwa.

W braku wszakże materyałów pożądanych, zadawalać się należy tem, co mamy, koniecznem tylko było zastrzeżenie, że oparte na tych wskazówkach rozumowania do ścisłości naukowej ani do nieomylności pretensyi żadnej nie roszczą. Cyfry grają w danym razie tylko pomocniczą rolę, co najwięcej, na podstawie ich można jedynie zaznaczyć pewne wątpliwości, wykazać pewne prawdopodobieństwa, oświecić niektóre wątpliwej natury fakty.

Sprawozdanie daje nam główne cyfry spraw ostatecznie zawyrokowanych, od których apelacya podawaną nie była. W r. 1882 osądzono ich 904, przestępców zaś liczono 1,407. Liczba ta od 1876 r. zwiększyła się nieco, ale jest mniejszą od sumy z 3 lat poprzednich, stopniowego więc, prawidłowego wzrostu niema. Na 100 pociągniętych do odpowiedzialności wypada 63 osądzonych. Głównego kontygensu oskarżonych dostarczają złodzieje, mianowicie 62%; jeżeli zaś dodamy do tego inne wykroczenia przeciw własności, to cyfra owa wzrośnie aż do 70%. Dodać należy, że stosunek ten z pewnemi wahaniami podnosi się ciągle — w 1876 r. skazani za kradzież stanowili tylko 46% ogólnej liczby przestępców. Trudno jednak—jak to czyni *Wiek*—przypisywać ten fakt zmniejszeniu represyi. Sprawozdawca owej gazety pominął umyślnie dane za 1882 rok i tym sposobem pozornie dowiódł, że procent ukaranych za kradzież zmniejsza się. W rzeczywistości zaś spadnięcie dość znaczne nastąpiło tylko w roku zaprzeszłym, co daje się w zupełności objaśnić warunkami chwili; w tym roku bowiem Sąd rozpatrywał wiele spraw mających źródło w zaburzeniach antyżydowskich, a więc spełnionych w okolicznościach niezwyczajnych; jest przeto rzeczą naturalną, że procent uwolnionych był znaczniejszy, nietylko w rubryce kradzieży, ale i wogóle. Represya zaś w dziale przestępstw przeciw własności jest stosunkowo większą, a mianowicie ze 100 oskarżonych skazano 71, a za inne przestępstwa zaledwie 55%. Wpływ więc słabszej lub silniejszej represyi, jest w tym wypadku co najmniej niedowiedzionym, żeby nie powiedzieć — wątpliwym.

W kradzieży często bardzo przyjmują udział małoletni. Wogóle procent przestępców małoletnich jest bardzo duży, bo 29 na 100 i wzrasta prawie corocznie, ale w dziale złodziejstw cyfra ta dochodzi do 35%. Kobiety stanowią 18% oskarżonych, w niektórych jednak przestępstwach udział ich jest silniejszym. Do takich należą nieposłuszeństwo władzy (46%), obraza urzędników (37%) a także zabójstwo (44%). Co do dwóch pierwszych wykroczeń wysoki procent kobiet daje się objaśnić z pewnem prawdopodobieństwem rozpowszechnioną w niższych warstwach opinią, że za opór lub nieposłuszeństwo władzom kobiety nie podlegają wcale karze, włościanie zwłaszcza, uważają to za pewnik, dlatego też w razie starcia z policyą lub innemi władzami zwykle w pierwszym szeregu stawiają niewiasty.

Pod wspólną nazwą zabójstwa figurują różne jego rodzaje, jak np. dzieciobójstwo, czem objaśnia się znaczny udział kobiet w tem przestępstwie.

Zaliczenie dzieciobójstwa do kategoryi ogólnej morderstw, nie wytrzymuje krytyki. I prawodawcy i uczeni skłonni są owszem do uważania go, jako oddzielnego przestępstwa, ponieważ pobudki są tu zwykle innej natury.

Na 100 osądzonych otrzymało wyższe wykształcenie 0,3, piśmiennych zaś było 26.7, czyli razem 27%. Na 100 mężczyzn było piśmiennych 30, na 100 kobiet — 10. Jeżeli weźmiemy pod uwagę, że w gubernii warszawskiej, ludność wiejska stanowi wysoki procent (przeszło 34), a więc oświata jest w niej rozpowszechnioną bardziej, aniżeli w całym kraju, że wreszcie Warszawa, jako stolica i ognisko umysłowe całego kraju, mieści znaczną liczbę ludzi, którzy otrzymali średnie lub wyższe wykształcenie, to dojdziemy do przekonania, że procent piśmiennych a szczególniej zaś wykształconych przestępców nie jest wcale zbyt duży. O ile więc statystyczne cyfry mogą rozstrzygać tę kwestyę, dostarczają one dowodów umoralniającego wpływu oświaty.

Dostarczają ich one również dla stwierdzenia raz jeszcze, dawno już skonstatowanego i nieulegającego zaprzeczeniu faktu, że ludność miejska skłonniejsza jest do spełniania przestępstw, aniżeli wiejska. Chociaż bowiem włościanie stanowią blisko $^2/_3$ zaludnienia całej gubernii, w rubryce przestępstw jednak zaznaczają swój udział daleko mniejszym procentem, bo ledwie 30%.

Na zakończenie zwracamy jeszcze uwagę optymistów, że względne zmniejszenie liczby przestępstw w ubiegłym roku nie

*) Patrz nr. 34 *Prawdy*.

---

4)

POWIEŚĆ O JANKU
SZEWCKIM SYNIE

przez

J. S. Wierzbickiego

IV.

Zima miała się ku schyłkowi, ale mrozy były tęgie. Słońce świeciło, ale bardziej dla formy, bo wcale nie grzało. Wiatr dął gwałtowny. Wrony siadywały na drzewach przy drodze a z miny ich można było wnosić, że mówiły o pogodzie, która nawet dawała się we znaki tym skrzydlatym czyścibrukom natury. Wróble nabrały szczególnej ciekawości i zaglądały do mieszkań ludzkich, siadając na ramach okien i stukając dziobkami. Rzeka lśniła jak fala szklanna a ludzie chodzili jak żywe kominy, buchając parą i chrzęszcząc obuwiem.

W jednym z takich dni zimowych Wojciech z Heleną siedzieli przed kominkiem, w swojem mieszkaniu, ofiarowanem darmo przez ks. Jacka organiście i to z opałem, którego mu udzielano na wagę bardzo ścisłą. Oboje dmuchali w palce i czuli, że zimno zachodzi aż za paznokcie. Przed chwilą nawet, powróciwszy z miasta, odtańczyli coś w rodzaju sarabandy, zachowując w tym przymusowym tańcu miny, właściwe poważnym osobom. Izdebka ich była szczupła, a na ścianach wisiały ozdobione wiankami zeschłych kwiatów i palmami obrazy świętych, którzy cieszyli się szczególną łaską pani Wojciechowej. W jednym z kątów wisiał obraz św. Jacka, patrona ks. proboszcza; tu paliła się lampka. Historya tego obrazu szczególna. Zachciało się koniecznie Wojciechowi wizerunku św. Jacka; szukał go więc, szukał... aż wędrowny jeden kramarz, sprytny węgier, uczynił zadość jego życzeniu: mając portret Lutra, odciął nożyczkami podpis i przylepił zgrabnie nowy, drukowany, który zapewniał o tożsamości portretu św. Jacka. W jednym z kącików wisiała półeczka z książkami, na których stał spiżowy posążek Napoleona I-go.

Było to sanctuarium Wojciecha, jego biblioteka. Były tam dzieła świeckiej i duchownej treści, odczytywane często i zatłuszczone a mianowicie: przygody Rinaldiniego, wyborne dziełko, jak mówił organista; kantyczki, prawdziwe antyki! Apokalipsis, czyli, jak twierdziła Wojciechowa „Apoploksya św. Jana,“ co znaczy po polsku, awantury z życia św. Jana — dodawał jej mąż tajemniczo; Numa Pompiliusz, bardzo tkliwe dziełko, napisane przez Floryana (nazwiska niepodano w druku) bardzo uczonego polaka; w końcu zapylony numer *Przeglądu Katolickiego*, w którym była mowa o wielkim pożytku, jaki odniosie naród polski, wspierając misye katolickie w Chinach i Japonii... i wiele jeszcze innych książek.

Małżeństwo było zajęte interesującą rozmową: oboje narzekali na wielki brak pogrzebów, na upór, z jakim mieszkańcy Zacofanego postanowili nie umierać.

— Bo to proszę — rzecze ze złością Wojciechowa — burmistrz, naprzykład: niedołęga stary, chodzi taki chudy, nie przymierzając — Piotrowin, ino w nim kości stukają. Wszyscy mówią: ma suchoty! Bogać tam suchoty! A on, suchotnik jakiś, pociąga nas do jakichś tam opłat, podatki, powiada!... Dałabym ci podatki, coby, panie odpuść grzechy, piekło się trzęsło z radości. O mateczko boża, miejże nademną zlitowanie! Doloż moja, dolo! Niema co jość, ten pijak ino wszystko wynosi do szynku. A gdy go pytam poczciwie: farmazonie ty jakiś — co pieniędzy nie szanujesz? On mi: propinacyę podtrzymuję — prawi. Licho bierz twoją propinacyę! A ja tu dla niego, sierota bez ojca i matki, młodość zaprzepaszczam i marnie przepadam!

— Niewiasto pięćdziesięcioletnia — zawołał Wojciech — powiedziano jest w Piśmie św.: będziesz w pocie czoła pracować na męża swego!

upoważnia wcale do radosnego zadowolenia. Pomijając już, że rok zaprzeszły (1881) nie był normalny, mamy inne jeszcze dane, pozwalające nam w części dopatrywać w tem innych przyczyn. Jak wykazaliśmy poprzednio, pomimo wysokiej pozornie cyfry, rzeczywiście Sąd okręgowy osądził w 1882 roku mniej spraw, aniżeli w poprzednich latach; istnieje więc, zdaje się, dosyć uzasadniony powód zniżenia liczby przestępców.

Nie wiele, co prawda, udało się nam wyciągnąć ze *Sprawozdania* Sądu Okręgowego i tylko zupełny brak w naszej literaturze statystycznej danych tego rodzaju nakazuje nie lekceważyć nawet tak ubogiego i niedokładnego materyału.

Nie jest to wcale winą władz sądowych; owszem, im tylko wdzięczność się należy za dobre chęci i staranność wykonania. W swoim zakresie Sąd Okręgowy warszawski uczynił, co doń należało, i dał nam pracę, nie wolną zapewne od drobnych usterek i zbyt pobieżną, ale w każdym razie nader cenną. Idzie teraz o to, żeby inne instytucye sądowe skorzystały z tego dobrego przykładu. Podobne wykazy sądów okręgowych i zjazdów, opublikowane w swoim czasie, a nie wyczekujące, jak dotąd, światła dziennego, dałyby pewną podstawę do wypracowania szczegółowego obrazu patologicznych objawów życia społecznego. Dzisiaj zaś krytyka społeczna opiera swe wnioski tylko na zaobserwowanych pojedynczo faktach, nie mając żadnych wskazań liczbowych, niezbędnych do oceny rozmiarów i natężenia choroby, a więc i do leczenia jej nie doraźnymi, przypadkowymi środkami, ale za pomocą zmiany warunków, wywołujących złe i użycia sposobów, zapobiegających mu.

J. L.

Walka ras.

I.

Filozofowie wszystkich czasów i krajów pod rozmaitemi formami rozwiązywali tak zwane najwyższe zagadnienia bytu. Cóż znaczy — pytali wszyscy — cały ów przebieg dziejowy, śród którego działaczem jest ludzkość i jej części składowe? Jaki był początek tego przebiegu i jakie prawa rządzą jego rozwojem, jakie są jego dążenia, jakie cele? W czem szukać jego istoty i jakaż w nim jest myśl przewodnia?

Odpowiedzi na te pytania, stanowiące właściwy przedmiot historyozofii, głównie w trzech rozchodzą się kierunkach.

Pierwszy z nich historyę pojmuje, jako twór świadomo działającego bóstwa, wszystkie pytania owe odnosi do woli i zamiarów istoty najwyższej, rozwiązania zaś ich szuka i znajduje w religii. Jest to system *teistyczny*, reprezentowany przez judaizm i jego potomstwo, system, którego najdawniejszym zabytkiem jest Biblia i który i dziś jeszcze w literaturach europejskich licznych znajduje zwolenników.

Kierunek drugi uważa dzieje za wypływ swobodnego ducha ludzkiego i w rozumie człowieka pragnie odnaleść drogi i cele, po których i ku którym dążyć należy. Kierunek to znany pod nazwą *racyonalistycznego*, biorący początek w filozofii greckiej, a od czasu odrodzenia klasycyzmu w Europie najwięcej upowszechniony.

Trzeci wreszcie widzi w ludzkości jedną z zależnych części składowych przyrody i usiłuje dociec, jakie są prawa naturalne, według których część ta śród konieczności odwiecznej przebiega z góry jej zakreślone koleje. Kierunek to *naturalistyczny*, wyraźnie zarysowujący się w pracach Comte'a, Careya, Spencera, Lilienfelda i Schaefflego, trafnie oznaczony jako zwrot przyszłości, w przeciwstawieniu do dwóch pierwszych, których role kończą się obecnie, a słowa ostatnie przebrzmiewają.

Do wybitniejszych przedstawicieli ostatniej szkoły należy rodak nasz, dr. Ludwik Gumplowicz, profesor umiejętności politycznych na uniwersytecie w Gracu. W świeżo wydanej pracy swojej *) z takim zapałem i taką gruntownością zarazem rozwija wyznawane przez siebie przekonania, tak dokładnie i jasno charakteryzuje system cały, dla którego najwłaściwszą zdaje mu się nazwa „historyi naturalnej ludzkości," iż bliższe poznanie jego wywodów będzie niewątpliwie pożytecznem dla czytelników *Prawdy*.

*) *Das Rassenkampf. Sociologische Untersuchungen*. Inssbruck, 1883, str. 376.

Określając poglądy teistyczne i racyonalistyczne wprost jako złudzenia, powstanie ich tłomaczy wpływem, jaki na umysł ludzki wywierają wrażenia świata zewnętrznego. Jeśli bowiem, powiada, według trafnej dosyć uwagi Moleschota, materyalnie jesteśmy tem, co jemy, to duchowo niewątpliwie w znacznej części jesteśmy tem, czego doświadczamy, to jest — co obserwujemy i pojmujemy za pomocą zmysłów naszych. W życiu codziennem człowiek ma ciągłą sposobność do występowania w charakterze twórczym i do obserwowania tego charakteru. Poczytując siebie za sprawcę dzieł wolą swoją do życia powołanych, musiał przypuścić, że świat wokoło niego istniejący, innego ma stwórcę. Przypuszczenie to, zrodzone z konieczności logicznej, jest źródłem pojęcia o Bogu-stwórcy. Świadomość znów, że człowiek nie tworzy nic bez planu i zamiaru, stała się początkiem przypuszczenia dalszego, że i ów stwórca nieznany dzieło swe, świat otaczający, stworzył z planem i zamiarem.

Z pojęciami temi ściśle złączyły się racyonalistyczne. Gdyż gdziekolwiek człowiek ujawniał działalność swoją, wszędzie ona z pozoru zdawała się być wolną i świadomą celu swojego. Myśl o swobodnej woli więc i o świadomem celu działaniu również jest tylko jednem z owych licznych wrażeń, jakie odbiera duch ludzki z życia codziennego i jego zjawisk. Idee o świadomym celu stwórcy świata i o człowieku, z wolnej woli wypływającymi czynami swymi, snującym dzieje świata, musiały zgodnie z ustrojem myśli ludzkiej znaleść uzupełnienie w hypotezie, iż zarówno stworzenie całe, jak i cały rozwój historyczny jedynie w człowieku samym cel swój mieć mogą. Ponieważ wszelkie działanie ludzkie zawsze dąży ku zaspokojeniu potrzeb ludzkich, człowiek wcale nie mógł wyobrazić sobie, aby cały świat istniejący tym samym nie miał służyć dążeniom.

Z biegiem czasu dopiero duch ludzki zaczął przeczuwać, że nie on sam jest punktem środkowym stworzenia, że nie on jest źródłem całej historyi, że wśród ogromu wszechświata jest może tylko atomem bez woli i że cały rozwój dziejowy, którego część nikła i najdrobniejsza w jego umyśle się odbija, jest procesem naturalnym, odbywającym się według praw wyższych, odeń niezawisłych, procesem, w którym

---

— Co to, tyś liczył lata moje, moczygębo stary! — wrzaśnie Helena.

— Naczynie grzechu! — krzyknął organista — śmiesz mi pomstować i wymyślać od pijaków? A znasz ty dyscyplinę, grzesznico!?

— Przybliż się ino do mnie, to ci tym oczy wydłubię! — krzyknęła pobożna niewiasta, chwytając zardzewiały widelec o dwóch zębach.

— Vade retro satanas! — wymówił Wojciech, żegnając babę, która znów się zabierała do lamentów...

Wtem do izby wszedł Janek. Mały był zziębnięty. Nic nie mówiąc, przystąpił do pieca i zaczął grząć sobie rączki.

— A co nam powiesz chuchraku? — spytała Helena. Cóż to chodzisz po takim zimnie! A rety! Aż ręce mu posiniały! Widać, że sierota, puścili go tak samopas!

— Któż ci kazał do nas przyjść? — zagadnął Wojciech.

Janek milczał przez chwilę, wreszcie rzekł:

— Nikt nie kazał — matula kazała.

Helena spojrzała na męża z przestrachem. Wojciech pokiwał znacząco głową:

— A czegoż ona ci kazała tu przyjść?

— Albo ja wiem?! Pewnikiem na naukę — odpowiedział chłopiec i wyjął z zanadrza elementarz.

— Głupie dziecko! — zaśmiała się Helena.

— Niowiasto, nie wiesz, co mówisz, on będzie człowiekiem!

— Ja to wiem!

— A gdzież twój tato? — pyta znów organiścina.

— A gdzież ma być?! W karczmie.

— Słyszane rzeczy! — zaśmiał się Wojciech — to on już pije!

— A pije — szepnął malec — tak jak przedtem, nim matulę do kufra schowali!

— A ciebie kocha?

— Nie kocha, tylko uczy szyć buty.

Starzy się zaśmieli.

Mały przypuszczał, że nauka szycia butów jest jeduym ze sposobów okazywania ludziom swej nienawiści.

— A ty kochasz tatę?

— A bodaj go! — rzekł naiwnie chłopiec i niezmiernie rozśmieszył tem pobożną parę, która rozkoszowała się, wypytując go o różne szczegóły życia w domu Andruchowym. Gdy wypaplał wszystko, organista wziął się do nauki z zapałem.

Janek, jakby instynktem, przeczuł, że Wojciech lubił namiętnie uczyć i że mu to podchlebiało.

Mistrz zaczął od tego, iż wypowiedział długą, zawiłą przemowę, dotykającą w niej często wypadków tragicznych z życia osób, wsławionych w Piśmie św., np. „Jadama, który nieszczęściem zjadł ów frukt zakazany," i „Chama, który miał zaszczyt być synem Noego" — zakończył się tak głęboką religijną sentencyą, iż Helena rzekła: amen! Zdawało się jej bowiem, że mąż w tej chwili mówił kazanie.

Janek z początku nie zrozumiał, o co szło i chciał już umknąć, przypuszczając, iż Wojciech, tak samo jak jego ojciec, pragnie mu wyłożyć kilka prawd zasadniczych z szewckiej pedagogiki, ale organista go uspokoił, wziąwszy elementarz do ręki i radość zabłysła w oczach dziecka.

Sylabizowali. Nauczyciel był zachwycony pojętnością ucznia, który przeczytawszy: *A — j* — zgadł od razu, iż to oznacza: *Aj*, i to bez tych środków, wywołujących odrazu na usta ów wykrzyknik—środków, niestety, zbyt mu znanych.

B—a, b—a, będzie: *baba!* — czytał dalej, a stary Wojciech z tej racyi uczynił uwagę ku zbudowaniu Heleny, mrugnąwszy na nią:

— Z dwóch niewinnych liter wypada rzecz taka piekielna: Baba! Taka fizys azyatycka!

— Nie gadaj bo tak uczenie! — ofuknie Wojciechowa — mały pomyśli, że mowa o jakimś francuzie abo miemcu.

— Siedź tam cicho i nie odzywaj się! — rzekł Wojciech i dalej sylabizowali.

Nauczyciel i uczeń byli z siebie zadowoleni. Ciekawa Helena, aby przynęcić malca dla nowinek, jakie przynosił, dała mu obwarzanek. Organista zaś pocałował

i on bierze udział, ale który nietylko dla niego się rozegrywa.

Przeczucie to znalazło silne poparcie i stwierdzenie w zdobyczach nowożytnej umiejętności przyrodniczej, a najznakomitsi socyologowie współcześni wzięli sobie za zadanie zbadać istotę owego wielkiego, powszechno-dziejowego procesu naturalnego. Jeśli zaś usiłowania w tym kierunku dotychczas pozostały bezowocnemi, przyczyna tego leży w samej naturze ducha ludzkiego, w zapasie nagromadzonych przezeń pojęć fałszywych, oraz w głęboko zakorzenionych nałogach myśli ludzkiej.

Do rzędu tych pojęć fałszywych przedewszystkiem zaliczyć wypada wyobrażenie, które albo ludzkość całą w jej rozwoju powszechno-dziejowym uważa za rodzaj istoty żyjącej, zmuszonej przebywać wiek dziecinny, młodzieńczy, męski i starość, albo też w pojedynczych związkach i kołach społecznych, w jakie się złączyła, widzi organizmy żywe w niczem od świata zwierzęcego nie różniące się. Dalszym ciągiem owego pojęcia jest to, jakoby z jednej, pod względem płciowym różnej pary ludzkiej liczne zrodziło się potomstwo i że ono wskutek nowego rozrodzenia się miało pomnożyć znacznie liczbę mieszkańców ziemi.

Z pojęciami temi raz na zawsze zerwać należy, chcąc w socyologii do jakichkolwiek dojść rezultatów.

Dwa są momenty zasadnicze, z których składa się wszelki proces naturalny: różnorodność pierwiastków i wzajemny ich wpływ na siebie. Co do pierwszego, filozofowie i przyrodnicy nowocześni doszli do przekonania, że moment ten najzupełniej powtarza się i w procesie socyologicznym, gdyż początek bytowi ludzkości dała nie jedna para, lecz różnoszczepowe, w rozmaitych punktach globu rozsiedlone gromady, a więc różnorodne pierwiastki etnologiczne. Jest to tak zwana teorya poligenizmu, która wyniki swoje tak mniej więcej usprawiedliwia: W całej otaczającej nas naturze, o ile ona jest twórczą, uderza nas jedno prawo, mianowicie, że zazwyczaj ogromne mnóstwo zarodów zostaje w świat rzuconych, że z tych znacznie *mniejsza* liczba istot się rozwija, a z tych znów ilość *najmniejsza* dojrzewa, czyli wydaje owoce. Prawo to rządzi na całym obszarze życia roślinnego i zwierzęcego; *Wiele* zarodów, *mniej* istot, *najmniej* owoców czyli organizmów dojrzałych. To nam stawia przed oczy mądrą przezorność, rzec można—trafną politykę przyrody. Jakoby przewidując pociski wrogie istnieniu każdego z osobna gatunku i niebezpieczeństwa, czyhające na zgubę wszelkiego organizmu—stwarza ona niezliczoną ilość zarodków; żeby w ten sposób wyhodować choć małą ilość owoców dojrzałych. Rozrzutna u zawiązków życia, nie ma ona potrzeby drżeć o ofiary, jakie zabierają jej wrogie temu życiu potęgi. Miałażby natura w rozwoju ludzkości właśnie odstąpić od prawa, jak najściślej przestrzeganego w świecie roślinnym i zwierzęcym? Bynajmniej! Że tak nie jest, że owszem ród ludzki w tej mierze wcale wyjątku nie stanowi—tego najlepiej dowodzą fakty z dziejów i doświadczenia, które autor w następstwie przywodzi.

(D. c. n.)

Ad. J. Cohn.

Żelazne prawo.

II.

Robotników jest więcej, niż właścicieli, a przytem nie posiadają oni nic, prócz swych własnych rąk, zmuszeni więc są jeden przez drugiego dobijać się o zajęcie, a posiadacz, naturalnie, zawsze wybierze tego z pomiędzy nich, który mu ofiaruje swoje usługi najtaniej. W ten sposób popiera Turgot swoje zdanie o powszechnem panowaniu możliwie najniższego wynagrodzenia za pracę. Argument to jednakże tak widocznie słaby, że go nawet zbijać nie warto. Wreszcie dawno on już obalony został.

Najemników jest więcej, niż pracodawców. To niewątpliwe. Lecz każdy z właścicieli potrzebuje robotników kilku, lub kilkunastu, w wielkim przemyśle — przynajmniej kilkudziesięciu lub kilkuset, nierzadko kilka, a czasem nawet kilkanaście tysięcy i więcej. Prosty więc stosunek liczebny nic tu nie wyraża, rozstrzyga dopiero stosunek zapotrzebowania pracy do jej zaofiarowania. Gdy więcej robotników szuka zajęcia, niż je znaleść może, muszą się przelicytowywać wzajemnie *in minus*; lecz za to, w razie przeciwnym, oni są panami położenia. Adam Smith bardzo dobrze to rozumiał. Wygłosił też zdanie, że, gdy przemysł w danym kraju postępowo się rozwija, płaca robocza podnosi się, a to w stosunku prostym do szybkości i trwałości rozwoju.

Twierdzi on jednakże, że, ponieważ właścicieli jest mniej, niż robotników, przeto mogą się oni łatwiej porozumiewać między sobą i wchodzić w zmowy w celu obniżenia płacy. Pozornie zdanie to ma za sobą słuszność. Mniejsza liczba ludzi może się łatwiej umówić, niż większa. Ani słowa! Lecz o łatwości wejścia w zmowę nie rozstrzyga jedynie sama łatwość porozumienia się.

Ażeby osiągnąć ogólną zmowę, potrzeba jeszcze, żeby wszystkich pertraktantów łączyła wspólność interesów. Być może, że, jak zauważył Leroy-Beaulieu, za czasów Smitha zdarzało to się. Dopóki przemysł nie rozwinął się jeszcze na wielką skalę, dopóki każdy z producentów łatwo mógł znaleść nabywcę na swoje wyroby, a brak kapitałów i ograniczony kredyt nie pozwalał bardzo rozszerzać produkcyi, dotąd dla każdego z przedsiębiorców jedynym sposobem zwiększenia zysków było powiększenie eksploatacyi robotnika. Wtedy rzeczywiście każdy właściciel był zainteresowany w obniżeniu płacy i ktoby się do zmowy w tym celu nie przyłączył, musiałby na tem stracić koniecznie. W wielkim przemyśle jednakże rzecz przedstawia się zupełnie inaczej. Silna nadzwyczaj konkurencya nakazuje tutaj przedsiębiorcy korzystać z każdej sposobności, pozwalającej mu rozszerzyć koło swych klientów. Gdy więc którykolwiek z jego współzawodników skutkiem nieporozumienia z robotnikami nie jest chwilowo w możności zadośćuczynienia swym zobowiązaniom, stara się on przejąć je na siebie, by wyrobić sobie nadal stosunki z nabywcami jego wyrobów. Tym sposobem zostaje on mimowoli sprzymierzeńcem tej strony, której korzyści, biorąc wogóle, stoją z jego interesami w sprzeczności.

Może mi tu kto zarzucić, że fakty często przeczą słuszności tego twierdzenia, gdyż zdarza się, że na zmowę robotników przedsiębiorcy odpowiadają również zmową ze swej strony. Ma to jednakże miejsce prawie bez wyjątku tylko wtedy, gdy bezrobocie przyjmuje bardzo znaczne rozmia-

---

go po ojcowsku w czoło i wyprawił do domu, rozkazawszy przyjść nazajutrz. Janek więc zaczął uczęszczać na lekcye, kiedy Andrucha nie było w domu. Długi czas uchodziło mu to płazem, bo ojciec nic o nich nie wiedział.

Tymczasem Andrzej spotykał się często z Magdą, która ubolewała mocno nad jego wdowieństwem i nazywała go dziarskim dziadem, na co ten odpowiadał podkręceniem wąsa i miłym uśmiechem.

— Cóż to — mówiła — nieboszczka, jak nieboszczka—świeć Panie nad jej duszą—niech zdrowo spoczywa, a młody jeszcze człowiek bez gospodyni, ani rusz!

I mrugała na starego, a jemu dziwne myśli wrzały pod łysiną. Chociaż po swojemu kochał nieboszczkę, ale bał się też jej za życia, tak, iż mu chciało się skosztować wolności z drugą, co to potrafi i „ząbki do ciebie wyszczerzyć z uśmiechem i da gęby słodziuśkiej, kiej cukierek." Zaczął więc ochędożniej się przybierać i to nawet w dnie powszednie; pomstował tylko na swą łysinę, co mu zaległa głowę ze stałem postanowieniem nieopuszczania swego stanowiska. Idąc ulicą, przyglądał się dziewkom i mrugał na nie, aż mu z drogi zmykały, chichocząc. Robił w swej myśli przegląd wszystkich Kasiek, Marysiek i Zosiek w okolicy.

— Ta — mówił — zasadna, ale ma oczy wyłupiaste; tamta gniewliwa i gębata wielce; owa—fein dziewucha, ale się włóczy po nocach.

Tak wybierał, rozmyślał, podkręcał wąsa i było mu jakoś nijako na sercu.

W tym samym czasie chłopcy jego mało pracowali i dom trząsł się od wrzasku i figlów; a chociaż szewc, wracając do domu, zwykle mruczał pod nosem: „Pojechał Bartek szukać sobie Kachny!", ale spojrzawszy na nieład w domu, młócił kijem na prawo i lewo. Zastanowiło go to jednak, iż od niejakiego czasu Janek rzadkim był gościem w domu, w którym tylko nocował. Raz ujrzał go koło Wojciecha na chórze, to znów podpatrzył, jak się skradał cichaczem do chaty organisty. Myślał przez długi czas, co by to było, w końcu uderzył się w czoło i zawołał: „głupcze!" To niewinne oddanie sobie słuszności oznaczało, iż domyślał się celu wycieczki chłopca.

Janek właśnie zaczynał stawiać pierwsze kroki w czytaniu i obaj byli z Wojciechem głęboko zajęci studyowaniem różnych wielce ciekawych wiadomości i nowinek elementarzowych, np. iż „gęś—ptak," albo że „pies szczeka." Na dworze była marcowa pogoda i wiatr z gniewem uderzał o małe okienka deszczem i śniegiem. Helena gdzieś poszła na miasto.

Nagle drzwi od izdebki się otworzyły i ukazała się w nich wąsata twarz Andrzeja.

Nauczyciel i uczeń nie słyszeli wcale jego wejścia. Ale Janek uczuł, iż jego ucho zaczęło robić daremne wysiłki, aby się oderwać od głowy, Wojciech zaś ujrzał w tej chwili ogromną czerwoną łapę, która chwyciła mu z przed nosa elementarz i zgniotła. Organista zerwał się z taką chyżością, iż rogatywka Andrucha spadła-by na ziemię, gdyby na drodze nie spotkała małego ceberka z pomyjami, w którym poczęła pływać, zachowując wszystkie zasady dobrej szkoły, trzymając się na powierzchni. Spojrzeli sobie oko w oko, ale że Wojciech nie był w spirytualnym błogostanie, dodającym mu wiele energii, uczuł pewien niepokój w sercu, który go zmusił do cofnięcia się w obronnej pozycyi ku najbliższemu kątowi, gdzie była biblioteka. Janek odgadłszy złe zamiary ojca względem swego ucha, drapnął przez drzwi, krzycząc z rozpaczą: „mój alimentarz, mój alimentarz!"

— Rozbójniku — zawołał Wojciech — śmiesz targnąć się na życie organisty!

— Ja ino chcę twojej czupryny, dławidudo!

— Nie dostaniesz jej póki życia mego—wrzeszczał Wojciech, schylając się, by podnieść zydel ku obronie swej korpulencyi, co dało czas Andruchowi dostać się do jego włosów i zrobić w nich pewną małą demonstracyę.

— Gwałtu—krzyczał organista — zabijaństwa robi!

— A będziesz mi uczył syna, frycu stary, będziesz zawracał łeb chłopcu, geometro!

ry i wybucha naraz w wielu lub nawet we wszystkich fabrykach danej okolicy lub danej gałęzi produkcyi. W takim wypadku fabrykanci, widząc grożące im wszystkim niebezpieczeństwo, zmuszeni są do łącznego działania. Lecz winniśmy zwrócić uwagę, że jest ono tutaj dopiero skutkiem uprzedniego zorganizowania się robotników. Nie można więc bynajmniej na podstawie podobnych faktów twierdzić, że praconabywcy są naturalnymi sprzymierzeńcami w walce z klasą robotniczą, bo dzieli ich zawsze, do pewnego przynajmniej stopnia, współzawodnictwo na polu handlu. Dzięki temu, chociaż działają oni zgodnie, starając się każdy na własną rękę utrzymać płacę na możliwie najniższym poziomie, to jednakże bardzo rzadko łączą się między sobą w związki z tym celem.

Inaczej rzecz się ma z robotnikami. Wprawdzie i między nimi istnieje konkurencya, lecz mogą ją znacznie osłabić lub nawet zniweczyć stowarzyszenia, które, jak nas o tem pouczają fakty, a w szczególności angielskie *Trade-unions*, daleko łatwiej wchodzą w życie pomiędzy robotnikami, aniżeli przedsiębiorcami, a skłonność ta do łączenia się wzrasta dzisiaj coraz bardziej śród klasy roboczej w miarę budzącej się w niej świadomości walki klasowej. Nie należy przytem przeoczać tej szczęśliwej dla robotników okoliczności, że gdy, skutkiem zwiększonego zapotrzebowania pracy, współzawodnictwo śród nich traci na sile, antagonizm interesów fabrykantów wzrasta właśnie wtedy, dzięki wzmożeniu się konkurencyi na polu zbytu towarów. Ponieważ wybór czasu na urządzenie bezrobocia zależy od robotników, więc mogą oni korzystać z chwil takich, a dzieje strike'ów w Europie i Ameryce dowodzą, że dobrze zorganizowane nie zapoznawały bynajmniej tej korzyści i przez nią niejednokrotnie odnosiły zwycięstwa.

Lecz prawo, twierdzi dalej Smith, utrudnia robotnikom zawiązywanie koalicyj, zakazując ich stanowczo, podczas gdy względem zmów praconabywców zachowuje się neutralnie. Nie jest to jednakże bynajmniej argument, któryby mógł być użyty na dowód panowania przy dzisiejszym systemie produkcyi i podziału bogactw jakiegoś niewzruszonego „żelaznego“ prawa płacy roboczej, bo prawodawstwo może podlegać zmianom, nie wywołując bynajmniej koniecznej potrzeby zmienienia tego ustroju społecznego, przy którym powstało; wszelkie więc zarzuty i twierdzenia, stawiane na podstawie jego wad, upadają wraz z ich usunięciem. Wreszcie dziś już wzmiankowana przez Smitha niesprawiedliwość w Anglii i Francyi nie istnieje. W pierwszej wolność związków robotniczych ostatecznie zapewnioną została w możliwie najszerszych granicach przez dwa prawa z r. 1875 *), podług których takie tylko czyny koalicyj podlegają karze, które by jej podlegały nawet wtedy, gdyby je popełniły jednostki. W drugiej— prawo z 25 maja 1864 r. te tylko bezrobocia uznaje za podlegające karze, które doszły do skutku *à l'aide de violences, voies de fait, manoeuvres frauduleuses.* W innych państwach europejskich utrzymały się wprawdzie, o ile wiem, dotąd jeszcze dawne prawa, zakazujące urządzania sztrajków, lecz opinia ogółu jest już im wszędzie przeciwna. Wcześniej więc, czy później, wszystkie rządy będą musiały z czasem uledz jej naciskowi tak samo, jak mu się już poddały, znosząc tak powszechne niegdyś taksy, oznaczające *maximum* wynagrodzenia robotnika, zakazy zmiany miejsca pobytu i wiele innych podobnych ograniczeń wolności osobistej.

Co do tego, że prawonabywcy po większej części są w posiadaniu mniej lub więcej znacznego majątku, który im daje możność w razie potrzeby wyżyć przez czas długi bez prowadzenia przedsiębiorstwa, podczas gdy większość robotników żyje z dnia na dzień, to zarzut ten osłabia najprzód wzrastająca dziś ciągle solidarność śród ogółu ostatnich a następnie — bynajmniej nie słabnące przywiązanie do miłego grosza pierwszych. Zaprowadziwszy w swych szeregach, dzięki wolności stowarzyszeń, umiejętną organizacyę, robotnicy urządzają bezrobocia podług pewnego planu z góry obmyślanego w ten sposób, żeby zawsze opróżniającą się kasę sztrajkujących mogli zasilać pracujący naówczas spokojnie. Zasiłek ów tam, gdzie (jak np. w Anglii) pojedyncze stowarzyszenia centralizują się w związki, pozostające pod jednym zarządem, płynie z kasy ogólnej związku, umyślnie na ten cel przeznaczonej. Organizacya taka zaradza skutecznie brakowi zasobów u pojedynczych robotników. Z drugiej znów strony, jakkolwiek większość pracodawców, zamieniwszy swe przedsiębiorstwo na brzęczącą monetę, wyżyć by mogła za otrzymaną stąd sumę przez czas pewien, bodaj całe życie, a niektórzy nawet dokazać by tego mogli z zapasowego grosza, to jednakże wiadomo, jak wielką na sprzedaży w podobnych okolicznościach, również przez długotrwałą stagnacyę, ponosi się stratę! Czyż więc wobec tego, gdybyśmy nawet nie mieli jeszcze faktów na poparcie swej tezy, nie moglibyśmy *a priori* już utrzymywać, że przy dobrej organizacyi stowarzyszeń robotniczych, byle tylko żądania strajkujących nie przekraczały granic możliwości w danych okolicznościach, przedsiębiorcy w imię własnego jedynie interesu ustąpić im muszą? Dziś jednakże już i faktów na poparcie słuszności tego twierdzenia nie brak! Polepszenie się położenia robotników angielskich w ostatnich lat dziesiątkach większość ekonomistów wszelkich szkół: Rudolf Meyer, Dühring, Roscher, Paweł Leroy-Beaulieu, Thornton, Hrabia Paryża i w. i. przypisuje w znacznej części działalności *Trades-unions.*

Twierdzenie Ricarda bardziej jeszcze kłóci się z rzeczywistością, niż zdania jego poprzedników. Podług postawionej przez niego formuły, każde podniesienie się wynagrodzenia robotnika wywołuje zawsze wzrost cyfry urodzeń. Fakty jednak przeczą temu. Tak np. we Francyi, jak tego niezbicie dowiódł P. Leroy-Beaulieu w swoim *Essai sur la répartition des richesses* (Paryż, 1881), płaca robocza w ciągu ostatnich lat pięćdziesięciu, a zwłaszcza trzydziestu, znacznie się podniosła. Pomimo to jednakże cyfra urodzeń nietylko nie wzrosła w tym czasie, lecz przeciwnie — stale się zmniejszała, jak tego dowodzą następujące liczby:

Od 1831—40	procent	urodzeń	we Francyi	wynosił	2,87
„ 1841—50	„	„	„	„	2,73
„ 1851—60	„	„	„	„	2,61
„ 1861—70	„	„	„	„	2,60
„ 1871—73	„	„	„	„	2,51

Fakt ten dziwniejszym się jeszcze wyda, gdy dodamy, że procent ludzi żyjących w związkach małżeńskich, stosunkowo do ogółu ludności, najpokaźniej przedstawia się w tej samej właśnie Francyi, gdzie cy-

*) *Employers and Workmen-Act* i *Conspiracy and Protection of Property-Act.*

Wojciech spostrzegł, że sprawa źle idzie; uznał więc za potrzebne dla obrony swej pozycyi wezwać wielkiego Napoleona, który spadł na łysinę Andruchową, jak młot, wyrył na niej znak sinawo-czerwony i zmusił nieprzyjaciela do zajęcia pozycyi odpornej. Tymczasem cała biblioteka Wojciecha poleciała w ślady Napoleona. Rinaldo twardym grzbietem nadwerężył nos szewcowi, Numa Pompiliusz cnotliwy podbił mu oko.

Niewiadomo jednak, jaki byłby los Wojciecha, gdyby nie weszła pobożna Helena, która cały cebrzyk pomyj wylała na głowę drogiego gościa, tak, iż zmusiła go do chyżej ucieczki. Wybiegłszy z mężem, zaczęła krzyczeć:

— Gwałtu! Na miejscu zabił! Bij, zarżnij, świadkowie, patrzcie się, jak nas potyrał, hej somsiedzi, pójdziemy na sąd, patrzcie, posiekał na mięso!..

Helena długo biegła za Andrzejem, chcąc go przymusić do tego, aby ją obił przy świadkach; ale ten, zwąchawszy, co się święci, uciekł tak szybko, że zdziwieni ludzie, co powybiegali z chat, mniemali, iż to organista swą żonę okłada. Szanowne małżeństwo, wróciwszy do chaty, kłóciło się długo, a mianowicie Helena wymawiała Wojciechowi, dla czego nie wrzeszczał głośniej i nie dał się obić Andruchowi przy sąsiadkach, to „byłby i sąd jaki taki i łaska boża i profit.“

— Bo proszę, co ty masz mu darmo uczyć malca?!

— Milczałabyś babo — ofuknął Wojciech — cóż to ja za pieniądze uczę? Jeżeli chciałaś dostać po karku, trzeba było się śpieszyć.

— To ty chciałbyś, żeby on że mnie wytrząsł ostatnie kosteczki i choroby nabawił!

I baba w płacz! Długo w izbie Wojciechowej brzmiały lamenty, wtorując powiewom wiosennego wichru, co wył za oknami, miotając śniegiem i deszczem.

A Wojciech zmarszczył czoło, poprawił włosów, ukląkł za ziemi, patrząc z boleścią na mosiężnego Napoleona, który zapadł w glinę, i na księgi, które się rozleciały po pokoju. Kiwał głową, mrugając dziwnie oczami i pociągając nosem. Kto to wie: gdyby Wojciech był dzieckiem, to możeby i zapłakał.

Andruch powracał miotany gniewem i wstydem, iż przed babą uciekł. Janek zaś przybiegł do domu, prosząc braci, aby go schowali. Wojtek go transportował na górę, ale tam zimno bardzo. Bartek proponował komin, ale tam sadze. Inni chcieli go do piwnicy schować, ale tam strasznie ciemno! Janek więc usiadł w kącie łóżka nieboszczki Małgorzaty, pod obrazem Matki boskiej; czuł, że „ciepło i wygodnie a matula gdzieś muszą być blisko.“

Andruch wszedł i szukał oczami Janka. Już miał go wziąść dla sprawienia łaźni, gdy wzrok rzucił na obraz, postać nieboszczki żony żywo mu stanęła przed oczami i strasznie mu się zrobiło markotno na sercu. Patrzył, patrzył na chłopca i zdało mu się, że słyszy głos żony, co mu obiecała z tamtego świata przyjść za krzywdę dziecka wydrapać oczy. Odwrócił się, zapalił fajkę i zaczął pracować w milczeniu. Tymczasem Janek zasnął i śniło mu się, że czytał już wcale nieźle i że Helena dała mu za to dobrego obwarzanka.

Nadeszła wiosna i szewc sobie upatrzył w sąsiedztwie, we wsi Głupia Wola, ładną dziewczynę, Jagnę, córkę wdowy Wachowej, co ją wszyscy nazywali zamorską jędzą, bo z dalekich stron przywędrowała do wsi na biedę dla nieboszczyka Wacha. A ujrzał Andruch raz Jagnę na jarmarku i wydała mu się skromną i białą — „kiej lelija.“ Zaczął więc odwiedzać starą jędzę Wachową i zalecać się do jej córki. W święta często powracał od nich późno wieczorem... ale, wróciwszy nie śmiał spojrzeć w ten kącik, w którym stało łóżko Małgorzaty, gdzie usadowił się teraz Janek, myśląc, że tam „blisko matula być muszą.“

(D. c. n.)

fra urodzeń jest najniższa. Podczas gdy w 19 państwach europejskich, wziętych razem, na 100 ludzi wogóle przypada przeciętnie 34,88 małżonków, a na 100 dorosłych — 65,98, we Francyi liczba małżonków wynosi 38,94% całej ludności, a 73,58% liczby dorosłych. Należy jednak dodać, że procent ten po wielkiej Rewolucyi ciągle wzrasta, tak, że podczas gdy w r. 1806 wynosił 35,84%, w 60 lat później dosięgnął cyfry 40,5% *).

Zastanawiającą tę sprzeczność pomiędzy cyfrą małżeństw i urodzeń we Francyi zwolennicy teoryi Malthusa przypisują wstrzemięźliwości płciowej, spowodowanej jakoby przezornością małżonków francuskich; lecz zgodzi się chyba ze mną czytelnik, że zdania tego, zwłaszcza w zastosowaniu do francuzów, poważnie traktować nie można.

Wreszcie, co wpływa na zmniejszanie lub zwiększanie się cyfry urodzeń w danym kraju i czasie, nauka dotychczas zbadać nie zdołała. Zarówno dla statystyki, jak dla fizyologii jest to jeszcze zagadką. Nic więc stanowczego w tym względzie twierdzić nie można, a już tembardziej na tak nieuzasadnionych przypuszczeniach budować teoryj i praw *żelaznych* nie wolno.

Formuła Ricarda obejmuje również twierdzenie, że wzrastająca liczba urodzeń, powodując zwiększenie się ludności, potęguje konkurencyę między robotnikami i tym sposobem wywołuje obniżkę płacy. Tymczasem w Anglii w ciągu ostatnich lat trzydziestu liczba urodzeń podniosła się z 3,26% do 3,54%, a mimo to wysokość zarobku robotników w gałęziach przemysłu, objętych przez związki robotnicze, ciągle wzrastała i obecnie przewyższa o 20% płacę w czwartym lat dziesiątku**). Fakt ten nawet nie wyda nam się dziwnym bynajmniej, jeżeli tylko nie zechcemy podzielać z Malthusem błędnego mniemania, jakoby wzrost ludności galopował, a wzrost środków żywności żółwim wlókł się krokiem. W normalnym biegu rzeczy, jaki w tym względzie zazwyczaj przedstawia rzeczywistość, niepodobna zaprawdę zrozumieć, jakim sposobem zwiększona cyfra urodzeń może wpłynąć na obniżkę płacy roboczej. Zanim nowonarodzone potomstwo dojdzie do tej pory wieku, w której może już oddać się pracy zarobkowej, a bodaj nawet — zanim skutkiem zmniejszonej, dzięki dobrobytowi, śmiertelności śród niedorostków i całej wogóle ludności roboczej przy niesłabnącym rozwoju przemysłu zdoła się wytworzyć taki nadmiar rąk na rynku pracy, któryby mógł radykalnie zmienić korzystny dla robotników stosunek jej zaofiarowania do popytu, musi upłynąć dość znaczny szereg lat, w ciągu którego robotnicy nawykną już do zaznanego przy istniejącej normie płacy dobrobytu i obniżyć jej nie pozwolą.

Dühring w swoim *Cursus der National- und Socialoekonomie* robi uwagę, że gdybyśmy nawet odstąpili od dosłownego brzmienia formuły Ricarda i zastanowili się, czy na obniżkę wysokiej normy wynagrodzenia robotnika w danej miejscowości nie może wpłynąć nie już zwiększenie się cyfry urodzeń i zmniejszenie śmiertelności, skutkiem którego nadmiar rąk, jak widzieliśmy, zbyt późno na rynku się zjawia, lecz napływ ludności roboczej z miejscowości, gdzie płaca się podniosła, to i wtedy zmuszeni jesteśmy odpowiedzieć przecząco. Bo o ile by taki przypływ siły roboczej zdołał spotęgować jej zaofiarowanie tam, gdzieby znalazł ujście, o tyle osłabił by je tam, skąd wziął początek. Skutkiem więc takiej zmiany rzeczy mogłoby się działanie przewyżki popytu nad podażą pracy w swych skutkach rozdzielić, lecz nie może nigdy zniweć zupełnie.

Tak więc formuła Ricarda pod żadnym względem krytyki nie wytrzymuje i z rzeczywistością się nie zgadza. A jednakże Lassalle nie wahał się nazwać jej *Żelaznem prawem* i wyciągnąć z niego wniosków nader ważnych! Posłuchajmy, co on sam o niem mówi.

W. Wścieklica.

*) Wappaeus. *Bevölkerungsstatistik.*

**) Iwaniukow. *Główne zasady teoryi polityki ekonomicznej.*

GŁOS FRANCUSKI
o wyprawie wiedeńskiej.

I.

Po wybuchach ognistej miłości francuzi znacznie ochłodli względem nas w ostatnich czasach. Datuje się to szczególniej od roku 1870. Kilka odrazu złożyło się na to przyczyn. Niepodbudzane żadnymi faktami uczucia spowszedniały, sprzykrzyły się nawet i nastała reakcya. Wtrącenie się znacznej liczby polaków w nieswoje rzeczy podczas Komuny uważanem jest wogóle za nadużycie gościnności i kładzionem na karb awanturniczego charakteru narodu. Wreszcie po klęskach wojny zaczęto się po świecie szerokim rozglądać, szukając sprzymierzeńców i usuwać wszelkie przeszkody do możliwych aliansów.

Często też teraz w pismach wszech odcieni znaleźć możemy gorzką pigułkę zobojętniałej przyjaźni, usprawiedliwianej przykrą przesadą. Szczególniej zwracają na siebie pod tym względem uwagę korespondenci pism codziennych: *Voltaire'a* i *Soleil*, a głównie cały kierunek dwutygodnika *La Nouvelle Revue* pani Adam.

Takiej ostrej łatki, jaką nam przyszył Proudhon w swoim czasie lub przyczepiają teraz niemcy, nie spotykamy tu; zwykle się tylko ubolewa nad uporem i zaślepieniem tego skądinąd pięknego i obdarzonego rycerskiemi cnotami narodu. Występujemy więc czasem niby czerwonoskórzy, skazani na zagładę ślepą losów konieczności, czasami znowu jak narwańcy.

Pod tem wszystkiem łatwo jednak dopatrzyć nie brak sympatyi, ale raczej niemiłe nam sympatye. To też ile razy chodzi o Poznańskie, lub o jakikolwiek zatarg nasz z żywiołem giermańskim, zawsze możemy być pewni moralnego poparcia francuzów.

W ostatnim (z 15 sierpnia) np. numerze *La Nouvelle Revue* znajduje się artykuł p. Marius Vachon (*Un deuzieme centenaire. La France et l' Autriche au siège de la Vienne en 1683*), w którym autor na podstawie dokumentów z paryskiego ministeryum spraw zagranicznych opisuje cały przebieg sprawy wiedeńskiej i przeciwstawia źródła francuskie waryacyom historyi, wyłożonym w dziele Geuza Riedera.

Autor w starciu się pod Wiedniem widzi decydujący bój dwóch cywilizacyj, dwóch światów. Islam przez siedem lat gotował się do tej walki, z trzech części świata ściągnął siły i wzniósł ramię, aby zgnieść Wiedeń, Rzym... cały świat chrześciański. Wśród walczących Francya była w pierwszym szeregu, różne nazwiska wielu ochotników przytoczyć tu można na dowód. „Sam Jan Sobieski — mówi autor — czyż nie był nieco francuzem przez swe wychowanie, przez miłość dla naszego kraju, przez związki i przyjaźnie? Na dworze swoim, w obozach, pod Podhajcami, pod Chocimem, pod Wiedniem miał zawsze kącik Francyi (*un coin de France*)“

Jak na pierwszy krok — to wcale dosyć, i tylko francuskie pochodzenie autora ręczy, że się na tem skończy.

Gdyby tak podobny pomysł przyszedł był do głowy wiedeńskiemu autorowi, ha, ha, z pewnością zamiast trudnego strategicznego zadania zmiany bitwy pod Wiedniem, chwyciłby się historycznego wyświetlenia genealogii rodu Sobieskich. Dałyby się wynaleść i odpowiednie dokumenty i odszukać wśród licznych słów wypowiedzianych przez polskiego króla potrzebne wyrażenia.

P. Vachon w opowiadaniu swoim opiera się głównie na depeszach margrabiego de Sèbeville i na francuskim historyku Sobieskiego Salvandy'm.

Streszczę w krótkości ustępy, mogące zainteresować naszych czytelników.

18 czerwca 1683 roku hrabia Tekeli, węgier, zawiadomił dwór cesarski, że traktat żurawieński zerwany i natychmiast turcy ruszyli w pole, mając w swoim obozie liczne wojska lenników.

Książe Lotaryński stara się stawić czoło i bronić Raabwitz, lecz odparty cofa się bezładnie. Piorunem wpada do Wiednia wieść o klęsce. Traci głowę cesarz, dwór... cała stolica. Pod karą śmierci wzbroniono mówić głośno o bliskiej wizycie mahometan, ale już 6 lipca tatarzy ukazują się na równinie od strony Węgier. 7-go cesarz, cesarzowa, arcyksiążęta, dwór cały i posłowie zagraniczni opuszczają zagrożone miasto, aby się udać do Frankonii, lub Czech.

Sèbeville dokładnie opisuje popłoch, towarzyszący wyniesieniu się Jego Arcyapostolskiej Mości ze swojej rezydencyi.

W Lintz cesarz Leopold przypomniał sobie, że ciąży na nim obowiązek opieki nad państwem; wzywa więc Caplliersa, aby objął kierownictwo radami państwa i wojenną. Caplliers z początku odmówił stanowczo, gdyż w takim stanie, w jakim pozostaje Wiedeń, komendant uwić sobie wianka sławy nie zdoła, lecz przeciwnie, utracić może odrobinę zdobytych już zasług. Nie chciał on, aby imię jego pozostało na czele „złej sprawy,“ na czele marnej kapitulacyi, aby mówiono, że Caplliers oddał Wiedeń turkom po słabej obronie, a oczywista rzecz, że silnej stawić nie można, wobec tego, iż stolica pozbawioną jest wszelkich środków niezbędnych do wytrzymania oblężenia. Cesarz nalegał, błagał listownie i Caplliers podjął się wreszcie wątpliwej misyi. W oblężonej stolicy reprezentował on koronę, a Stharemberg pełnił urząd komendanta placu; oba wywiązali się z zadania znakomicie.

A cesarz zmykał coraz dalej, z Lintzu do Neuhaus, z Neubaus do Passau, otaczając się tajemniczą ostrożnością i ilustrując swój strach mnóstwem śmiesznych pomysłów. W Wiedniu wrzało; trwoga, rozdrażnienie z powodu bezkrólewia, ucisk możnych zrodził usposobienie bliskie buntu, mówiono głośno o poddaniu się hr. Tekeli.

Ks. Lotaryński ucierał się tymczasem nieszczęśliwie z turkami. Pchnął do miasta 10,000 piechoty i kilkaset kawalerzystów, a sam został na zewnątrz z kilkoma tysiącami. Wkrótce przyłączył się doń Lubomirski z 3,000 polaków, Waldeck z trzema półkami i Totl w 400 koni.

W depeszy Sèb. z d. 28 stycznia 1683 r. znajduje się następująca wskazówka o warunkach pomocy między Lubomirskim i cesarzem austryackim:

„Szlachcic Lubomirski zawarł, jak mię zapewniają, traktat z cesarzem, w którym się zobowiązał przyprowadzić do Węgier przeciwko turkom 1,000 dragonów, o których już mówiłem i 4,000 kawaleryi, pobierając 50 fl. dziennie ogółem za zaciąg i 110 fl. żołdu rocznie, przyczem cesarz nie jest obowiązany do dawania żywności w krajach dziedzicznych.“

Oblężenie zaczęło się 14 lipca. Kara Mustafa odparł zaraz ks. Lotaryńskiego z obranej pozycyi i tem przerwał łączność wszelką stolicy z Morawą i Czechami. W owym czasie wojska tureckie obliczano omało że

nie na miliony. Sobieski w liście do żony wspomina, że niektórzy narachowali 300,000 namiotów. Król stawił przypuszczalną liczbę 300,000 żołnierzy, Sébeville podaje 200,000.

Wiednia broniło 20 tysięcy ludzi, z których 6 stanowiło nieregularny nabór studentów, artystów etc. I wodzowie (szczególnie Stharemberg) i żołnierze wykazali wiele stałości i męstwa.

Poseł francuski próbował w tym czasie dostać się do wnętrza miasta, ale daremnie; dotarł tylko do stanowiska wojsk cesarskich.

Po prawej stronie Dunaju do Ems (Enns?) wszystko stało w ruinie. Po lewej nieźle się działo. W Krems (miasteczko na Dunaju w górę od Wiednia) Sébeville zastał Dumervalda, Lawdrowkeri i 2,000 polaków. Było to w dwa dni po szczęśliwej utarczce z turkami i 500 głów tych nieszczęśliwców tkwiło na tykach na przedmieściu Krems.

Z opowiadania p. posła widać, że krążyło w owym czasie wiele anegdot, starających się wystawić turków jako coś strasznego, jako protegowanych dyabła.

W Wiedniu nieszczególnie się działo. Stharemberg przez posłów przebieranych za turków, lub przez zuchów, idących wpław, słał listy, domagające się pomocy. Stara się utrzymać fantazyę, chwali żołnierzy i przyrzeka wytrwałą obronę, ale przypomina, że czas nagli.

Oto list z 21 sierpnia do księcia Lotaryńskiego:

„Książe, czas już przyjść nam z pomocą, tracimy wiele ludzi i wielu oficerów, bardziej przez upływ krwi (*flux du sang*) niż od ognia wrogów. gdyż codzień około 60 osób mrze z tej choroby. Nie mamy już granatów, które byłyby najlepszą naszą obroną. Działa nasze są w części zniszczone przez wroga, w części popękały po 50 wystrzałach z powodu lichego materyału, na nie użytego."

W wojsku tureckiem panowała niezgoda między wodzami. Janczary też nie zawsze prowadzili się przykładnie, odzywało się szemranie na złe prowadzenie sprawy. Prócz tego oblegających gubiły choroby i brak żywności. po którą trzeba było długie podróże odbywać. Żywiono się koniną. Cena chleba czasami dochodziła do 5-ciu a nawet do 10-ciu florenów.

W obozie chrześcian równie budującego ładu nie było i dworacy wciąż szyli buty ks. Lotaryńskiemu.

K. T.

Z GÓR.

III.

(Lud i jego dobroczyńca).

Biedna to, biedna ta nasza kraina,
Gdzie się chleb kończy, a woda zaczyna.

Woda i skała. Z tych dwu żywiołów, do których dodać można chyba tylko wyborne powietrze, musiał sobie zakopianin stworzyć warunki istnienia. To też —jak utrzymuje prof. Wrześniowski w swej cennej rozprawce (*Tatry i podhalanie*) — górale powiadają dotąd, że „żyją powietrzem. wodą i głodem," a jeden z nich zapytany, dlaczego tak „nikczemnie" wygląda. odrzekł: „Ja ta nie jem. tylko żyjem." Skałom powykradano skrawki roli, na której owies daje 2 ziarna, a często „brat rodzi brata," kartofle rzadko mnożą się 6 razy, kapusta zaś i len ledwie dyszą. W ostatnich czasach do tej skromnej uprawy przybyła koniczyna. O innych zbożach w Zakopanem nie ma mowy: nie pozwala na to ani ubogi grunt, ani silne wiatry. ani długie chłody. Przewlekła zima zeszłoroczna przycisnęła biedaków takim niedostatkiem, że — jak się wyraził do mnie na wycieczce Marcinek — wszyscy prosili Boga, „żeby chociaż jegomość (proboszcz) przezimowali z bydlętami." A czego im brakło? Kartofli, bryi (lemieszki) i podpłomyka z owsianej mąki, bo to są główne pokarmy zakopianina. Nie może on zaś mieć ich wiele, jeżeli bogaty „gazda" (według prof. Wrześniowskiego) wysiewa 90 korcy owsa, a biedny 2 lub 3. Mięsa przez cały rok nie widzi, chyba podczas wycieczek z gośćmi latem. Jedynym jego przysmakiem i okrasą jest mleko owcze i krowie.

Przedewszystkiem więc lud to ewangelicznie biedny — ptaki niebieskie i kwiaty polne, którym dopiero teraz „reszta" zaczyna być potrosze „przydawaną." Nędza jest zawsze płodną w wady. I zakopianie też w trudnej walce o byt nabyli popędów chciwości i zdobywania sobie środków do życia gwałtem. Niedawno pomarli, a może jeszcze w starszem pokoleniu żyją tacy, którzy „wyskakiwali za buczki," czyli, mówiąc bez ich przenośni — trudnili się rozbojem, a umieli także zapalać swe fajki przy świecach na ołtarzu. W tradycyach swoich posiadają legendę o słynnym Janosiku, który napadał bogatych podróżnych i wyłuskiwał ich kieszenie, rozdając łupy między biednych. Dziś góral jest nadzwyczajnie ogładzony, śmiałość, nabytą w wolnem, poddańczymi stosunkami nieobciążonem życiu łączy z nadzwyczajną delikatnością, rzekłbym — elegancyą, moralnie zaś i umysłowo znacznie przewyższa naszego chłopa. Wyznam nawet, że podobnie sympatycznego ludu nigdzie nie spotkałem. Nieraz zdawało mi się, że widzę nie prostych górali, ale poprzebieranych w czuhy i kierpcie podróżników. W twarzach (męskich) uroda i szlachetność, w oczach bystrość, w ustach dojrzały rozum, w ruchach zręczność. Ślady nieokrzesania, rubaszności, gapiowstwa, głupoty — niezmiernie rzadkie. Dość powiedzieć, że zakopianin nigdy nie klnie, a brutalnych słów, któremi chętnie nasmarowywa się język naszego chłopa, prawie nigdy nie używa. Nawet w postępowaniu ze zwierzętami serdeczny. Ledwie jedna na sto polskich wieśniaczek może się poszczycić taką delikatnością swego męża, jakiej używa od swego pana każda zakopiańska krowa.

Bezwątpienia wiele z tych dodatnich właściwości jest dawną spuścizną zakopian i tkwi w ich naturze, ale wiele również jest szczepem nowym. Czyim? Prof. Chałubiński gotów całą chwałę przydzielić ks. Stolarczykowi a co najwyżej część jej rozdzielić między wszystkich — prócz siebie. Tymczasem, o ile sprawę tę zbadałem lub mi ją rozjaśniono, sądzę, że jemu należy się główna, dotąd niespłacona zasługa.

Chałubiński poznał się z Zakopanem przed laty 30; przed dziesięciu jednak zetknęła go bliżej z ludnością cholera. Genialny lekarz stał się dobroczyńcą; dzięki jego wytężonym staraniom śmiertelność okazała się bardzo małą. Od tego czasu węzły ścieśniały się coraz bardziej, a splatała je nie jakaś czułostkowość, ale dziwny, niezwykły, na dobrodziejstwach i wdzięczności wsparty stosunek. Obecnie Zakopane posiada kilka nader pożytecznych instytucyj: szkołę snycerską, szkołę koronkarską, kasę pożyczkową; wszystkie one powstały albo z inicyatywy, albo przy pomocy Chałubińskiego. Pamiętajcie, że jest to lekarz, który po 9 miesiącach herkulesowej pracy w Warszawie wyjeżdża na odpoczynek w góry i tam zajmuje się... układaniem statutu dla kasy. Pomijam dobrą wolę — ale jakaż to energia człowieka na zupełnie obcem polu!

Wchodzisz na wysoką górę i spotykasz koniczynę — skąd ona tu? Chałubiński ją sprowadził i dał „gazdom." On również dostarczył im innych nasion; jedne się przyjęły, inne przepadły. Ale nawet zawody nie zniechęciły go; pracuje dotąd nad pomnożeniem i podniesieniem uprawy zbóż i roślin pastewnych. Odpowiedzmy własnemu sumieniu: kto z nas myślałby o tem, czy w Zakopanem nie da się zaaklimatyzować żyto norweskie lub zabezpieczyć ludność od pokątnych doradców przez rozpowszechnienie podręcznika prawnego Cienciały? Przyjeżdżamy w góry, zachwycamy się ich widokiem, płacimy nieraz suto góralom, ale jak oni dadzą sobie radę po naszym wyjeździe, to nas mało obchodzi. Tymczasem Chałubiński pamięta o ich ziemi, stodole, przemyśle, zdrowiu, zabawach. Obliczył on, że jeśli szkoła koronkarska będzie miała odpowiednią ilość uczennic, pomimo całej szczupłości zarobku (kilkanaście centów dziennie), dziewczęta zapracują tyle, ile potrzeba ich rodzinom na dokupienie zboża. Snycerskie wyroby Zakopanego nie ustępują już dziś szwajcarskim i są rozrywane. Chałubiński widząc, że górale skałom więcej ziemi nie wydrą i rolnictwem biedy swej nie odpędzą, pobudza ich ku rzemiosłom, niektórych własnym kosztem kształci, kołacze o pomoc do osób wpływowych w Galicyi a przez nich do sejmu, zyskuje szczere i skuteczne poparcie godnego za to rzeczywistej wdzięczności Zyblikiewicza, a nieraz nawet musi usuwać przeróżne płoty, które mu na drodze grodzi ta lub owa niezdolna do czynu, ale zdolna do paraliżowania obywatelskich usiłowań władza krajowa. A cóż powiedzieć o dowodach jego zacności na właściwem polu! Ów Chałubiński, pod którego drzwiami w Warszawie chorzy tłumnie całymi dniami wyczekują, o którego pomocy niektórzy daremnie marzą, którego muszą zdobywać szczęściem lub wysiłonem staraniem, on w Zakopanem nietylko leczy wszystkich górali, ale sam im pijawki stawia, w płachty obwija — najwyklejsze posługi felczerskie spełnia. Alboż to koniec tej dziwnej ojcowskiej pieczołowitości? On nawet udoskonalił i rozwinął melodye zakopian, wygrywane na skrzypcach i gęślikach, on uszlachetnił tańce górali, on im na wycieczkach urządza zabawy. Trzeba posiadać wyjątkowy umysł, wyjątkowe serce, trzeba umieć rozszczepić działalność na tyle kierunków i szczerze kochać ludzi, trzeba mieć fenomenalny zasób sił, pomysłów i uczuć, ażeby tego wszystkiego dokonać — bez szkody przytem dla nieprzerwanych badań przyrodniczych. Z drugiej strony musieliby ci zakopianie posiadać nieczułość skał tatrzańskich, gdyby swego dobroczyńcy za tyle ofiar i zasług nie otoczyli czcią najgłębszą.

Już w Warszawie słyszałem odgłosy z Krakowa pochodzącej skargi, że Chałubiński górali rozbałamuca. Skargę tę powtarzają w Zakopanem nietylko książki pamiątkowe, w których unieśmiertelniają się podróżni, ale nawet ściany schronisk. Na suficie domku przy Rybiem sam szanowny profesor wskazał mi następujący napis: „Chałubiński lepiej by zrobił, gdyby zamiast *psuć* górali, *naprawiał drogi* w Tatrach." Ta grzeczność, krajana tak grubo, jak krakowska kiełbasa, jest niezmiernie charakterystycznym wyrazem lekkomyślności pewnej części taterników. którzy wielką działalność oceniają wygodą swych nóg lub potrzebami swego żołądka. Dlatego, że jakiś przewodnik odmówił komuś swych usług, bo go „pan" obstalował na wycieczkę, lub że dziewczyna nie chciała komuś sprzedać dzbanka poziomek, bo niosła je „pani." dlatego Chałubiński. który obsiewa pola zakopian, zakłada im szkoły i kasy, dba o ich zdrowie, życie, śpiewy— „psuje górali" i ma „naprawiać drogi." Może ich obsypuje pieniędzmi? Widziałem, że im płaci podług taksy. Może toleruje wykroczenia? Wynajętemu przezemnie w Krakowie góralowi zdarzył się gość, który chciał wcześniej wyjechać, a więc ofiarował lepsze warunki.

— Byłbym — opowiada mi w drodze Józek szczerze — połakomił się, ale jakem pomyślał, że powiecie o tem *panu*...

Również sam byłem świadkiem, jak przed wycieczką Chałubiński pytał każdego z wezwanych górali, czy go kto inny nie zamówił. Za przewinienie nietylko względem siebie, ale wogóle względem zwiedzających Tatry, wyłącza przewodników ze swej drużyny na czas pewien lub zawsze. Jednego z nich, ulubionego, skazał na taką (bardzo dotkliwą!) karę za to tylko, że po wycieczce dopominał się od kogoś niegrzecznie dopłaty. To się nazywa „psuciem górali!“ A więc cóż jest naprawą?

Dla mnie stosunek Chałubińskiego do zakopian jest jednym z najwspanialszych i najbardziej pouczających obrazów rozumu, miłości i poświęcenia możnych wiedzą i środkami dla ciemnych i ubogich.

Gdyby nasz obywatel ziemski w swej wiosce, gdyby każdy w swem kole roztoczył tak zacną i płodną działalność, nie mielibyśmy tylu przekopów społecznych, tylu waśni i różnic, a natomiast ze skał dobywalibyśmy pożytek śród najsurowszych warunków. Nadzwyczajny ten człowiek prostymi sposobami, bez przewrotów, bez socyalistycznej maszyneryi umiał rozwiązać w miniaturze podstawowe zagadnienie społeczne — ustosunkowania bogactwa do nędzy. Nietylko głęboki myśliciel, ale zarazem poeta, opromienił przytem swą działalność jakimś dziwnym urokiem. Jego romantyczne wycieczki, przeplatane śpiewem, muzyką i tańcami górali, będące dziwnem zbrataniem wesela inteligencyi z weselem ludu, posiadają oryginalny wdzięk, którego ani zapomnieć, ani piórem odtworzyć niepodobna. Udają się one tylko jemu, bo tylko on jest rzeczywistym kochankiem gór i prawdziwym ojcem ich ludu. To też zakopianie, błogosławiąc swego dobrodzieja, drżą na myśl o tej chwili, kiedy im go zbraknie.

— Ach panie — rzekła do mnie jedna góralka — jemu chyba Bóg życia dołoży.

My, warszawianie, zdobimy głowę Chałubińskiego koroną z tryumfów w tyfusach i zapaleniach płucnych; ale nic nie wiemy, że serca ludu podhalskiego złożyły mu się na pomnik. Dziś rozumiem tę cześć. Podziwiałem Giewonty, Czerwone Wirchy i Rysy, ale zawsze najwyższym szczytem w Tatrach pozostał dla mnie — Chałubiński.

A. S.

Badania dziejowe.

Pawiński Adolf, **Źródła dziejowe tom XII i XIII.** *Polska XVI wieku pod względem geograficzno - statystycznym. Wielkopolska.* Warszawa, 1883. Tom I, str. 127 i 334, tom II str. 318 i XCVIII.

Uznana potrzeba stosowania statystyki ku zbadaniu przeszłości poczyna i w naszem piśmiennictwie praktyczne rezultaty wydawać. Ilu nas i na jakim w danej dobie rozsiadło obszarze? Jaki był stosunek liczebny grup, różniących się pod względem etnograficznym i religijnym, stanowiska politycznego i materyalnego? Ile nasz rolnik sochą swoją spulchniał rodzajnej ziemi i co z niej dobywał? Co i ile produkował mieszczanin? Nad tego rodzaju sprawami w czasach ostatnich poczęto u nas — i nie bez pożytku—zastanawiać się pilniej. Dużo już w tym kierunku zrobił p. Korzon dla doby Stanisława Augusta; obecnie prof. Pawiński odsłania stosunki geograficzno-statystyczne czasów bardziej odległych, bo Polski XVI stulecia. Na podstawie regestrów poborowych zdołał w świeżo wydanem dziele przedstawić rozległość województw i powiatów Wielkopolski, liczbę parafii, miast, wsi i łanów chłopskich; przybliżenie obliczył ludność kmiecą, zagrodniczą i komorniczą, przemysłowo-rzemieślniczo-wiejską, dworsko-folwarczną, szlachty zagrodowej i miejskiej; wymierzył dobra królewskie, duchowne, szlachty folwarcznej i cząstkowej, łany wójtowskie, karczmarskie, młynarskie i wolnych osadników, zagrody i osady kmiece, dobra i włóki miejskie. Z rezultatami badań p. Pawińskiego godzi się ciekawszego czytelnika w krótkości zapoznać.

Że w ukształtowaniu terytoryalnem rzeczypospolitej największą rolę odegrały czynniki historyczne, najmniejszą zaś względy polityczno-administracyjne, powstały przeto pomiędzy województwami Wielkopolski, odnośnie do ich rozległości, różnice wielkie. Kaliskie miało 300 mil kw., poznańskie 293, sieradzkie z ziemią wieluńską 212, łęczyckie 79, inne zaś od 50 do 60 zaledwie. Podobna nierównomierność daje się widzieć i w terytoryalnem ukształtowaniu powiatów. W województwie poznańskiem przypadało na jeden powiat około 73 mil kw., w kaliskiem 50, w sieradzkiem 35, w łęczyckiem i inowłocławskiem 26, gdy w ziemi dobrzyńskiej tylko 18, a w województwie brzesko-kujawskiem zaledwie 12. Oczywista wadliwość terytoryalnego podziału tłomaczy się wpływem owych czynników historycznych, właściwą była zresztą wszystkim państwom ówczesnym. Francya dopiero podczas rewolucyi rugowała historyę, jako podstawę podziału i w budowie departamentów względom geograficzno-matematycznym dała przewagę.

Na 1,051 milach kwadratowych ośmiu województw wielkopolskich znalazł p. Pawiński 117 parafii, 247 miast, 6,471 wsi. Średnio jedna parafia przypada na 0,94 mil., na 5 mil kw. przypada jedno miasto, na 1 mil kw. średnio 6 wsi. W r. 1571 łanów kmiecych było 40,274, w r. 1590 — 36,051; na jedną milę kwad. przypadało ich od 24 do 67, na jedną wieś od 5-u do 8-u.

Z ogólnej liczby 825,800 mieszkańców (678,000 ludności wiejskiej, 142,800 miejskiej przypada na jedną milę kw. 650 ludności wiejskiej, 159 miejskiej. Do najludniejszych należały województwa: brzesko-kujawskie i łęczyckie (1,270 głów na milę kwadr.), do najuboższych poznańskie i sieradzkie (720 głów na milę). Nie najgorzej przeto wychodzi Wielkopolska XVI wieku, skoro się jej najludniejsze województwa porówna ze współczesnymi, mniej zamożnymi krajami, jak np. z Turcyą, Hiszpanią, Grecyą lub Danią.

Wielka własność ziemska — z wyjątkiem dóbr królewskich i duchownych — rozwiniętą jest słabo, jednowioskowa przeważnie jest typem. W stosunku jednej czwartej do ogółu jednowioskowych właścicieli drobniejszą jeszcze posiadłością włada szlachta mało-folwarczna, najdrobniejszą szlachta cząstkowa, najczęściej rozsiadła w ziemi dobrzyńskiej. Rozdrobnienie własności nadawało społeczności szlacheckiej w Wielkopolsce charakter demokratyczny, chociaż najniższy stopień w hierarchii właścicieli — zagonowcy, zwani urzędownie *nobiles pauperes*, przy zmianie warunków ekonomicznych musieli z czasem ustąpić miejsca bogatszym—i zniknąć. Ponieważ w połowie XVI wieku w całej Wielkopolsce gospodarstwa szlachty zagonowej w stosunku do gruntów folwarcznych stanowiły nie więcej, jak 5%, a w tej liczbie mieściły się zagrody drobne, do nieskończoności podzielne, nie mógł przeto tego rodzaju żywioł wybitniejszego sobie stanowiska w społeczeństwie wywalczyć. Większe gospodarstwa szlachty folwarcznej, która wzmacniała swe stanowisko ekonomiczne pańszczyzną poddanych chłopów, oparły się z jednej strony wytworzeniu większej własności, z drugiej znów pochłonęły zagrody szaraków i zapanowały niemal wyłącznie.

Do wniosków, podanych tutaj w najzwięźlejszem streszczeniu, doszedł autor— jak to rzeczono wyżej — na podstawie tak zwanych ksiąg poborowych (*regestra contributionis*), materyale, jaki pozostawiła po sobie naczelna instytucya finansowa rzeczypospolitej — podskarbstwo koronne, czyli ministeryum skarbu. Podatki, które dotykały kraj cały, uchwalano w rzeczypospolitej w miarę potrzeby na sejmie; wyznaczono poborców, którzy zebrane według ustanowionej zasady pieniądze do podskarbstwa koronnego znosili i z czynności swojej czynili liczbę. Poborca składał rachunki z województwa, powiatu czy ziemi; wyszczególniał systematycznie każde miasto i wieś; oznaczał normę podatku, oraz wybraną sumę. Na podstawie takich rejestrów ułożył p. Pawiński spis wszystkich miejscowości Wielkopolski XVI wieku; nomenklatury miast i wsi dały mu możność wykreślenia granic województw, powiatów i ziem, a tem samem pozwoliły mu oznaczyć ich rozległość i wzajemny do siebie stosunek, jak znowu podawana przez poborców liczba i gatunek opodatkowanych łanów ułatwiły policzenie i rozklasyfikowanie ludności. Podjął prof. Pawiński pracę mozolną, w rezultaty niezmiernie płodną. Z niecierpliwością oczekiwać należy tomów następnych, które całokształt rzeczypospolitej pod względem geograficzno-statystycznym odsłonią i zrozumienie wielu zjawisk, dotyczących wewnętrznego życia dawnej Polski, niewątpliwie ułatwią.

Józef Łoski, **Jan Sobieski, jego rodzina, towarzysze broni i współczesne zabytki.** Dzieło, ozdobione 50 rycinami (zeszyt II, III i IV). Warszawa, drukiem Józefa Ungra, nakładem autora, 1883.

Ciąg dalszy wydawnictwa p. Łoskiego zawiera wizerunki: córki Jakóba Sobieskiego, Klementyny (żony Stuarta, pretendenta do korony angielskiej); konne portrety królewiczów: Aleksandra i Konstantego, królewnę Teresę Kunegundę, siostrę Jana III Katarzynę Radziwiłłową, hetmanów: St. Jabłonowskiego, Mikołaja Sieniawskiego, Potockich: Andrzeja i Feliksa-Kazimierza, Hieronima Lubomirskiego, Michała Paca i Michała-Kazimierza Radziwiłła. Oprócz powyższych podał p. Łoski w młodych leciech poległego pod Wiedniem Stanisława Potockiego; generała artyleryi koronnej, Kąckiego, podkanclerzego lit. Szczukę, oraz podskarbiów: Marcina Zamojskiego, Atanazego Miączyńskiego i Marka Matczyńskiego. Życiorysy współcześników Jana III są krótkie, lecz informujące dokładnie, co w połączeniu z udatnością podanych rycin bardzo dobrze rekomenduje wydawnictwo, kosztem samego p. Łoskiego podjęte.

Sm.

LIBERUM VETO.

Dojrzewanie owoców i wypadków. — Dwa szyniele.— Dziecię świata. — Tragedya maniaka. — Przeciw szarlatanom pieśni. — Na kogo? — Tak sobie. — Rozbitki na krze i odlatujące ptaki. — *Hołd pruski* w drzeworycie. — Artyzm za dwa złote od cala. — Wiwaty. — Chwała chłopka skępskiego. — Nowe odkrycia na kolei. — Próba fejletonu do *Słowa*.

W jesieni dojrzewają nietylko owoce na drzewach, ale i wypadki w życiu. Niedawno jeszcze samo Towarzystwo Wioślarskie dostarczało świeższej treści naszym Kuryerom, a dziś! Dziś mamy śmierć hr. Chamborda, rozruchy węgierskie, zjazdy

monarchów i ministrów. Nawet nowe „odkrycia“ na pewnej kolei warszawskiej i gromy p. L. Sowińskiego na „szarlatanów pieśni“ czekały do jesiennej pory. Nad grobem Henryka V większość naszych pism płacze, a Kraków uczcił go nawet osobnem nabożeństwem. Jakkolwiek nie należę do *henriquinquistów*, a lilie burbońskie na białym sztandarze obchodzą mnie tyle, ile wzory na obiciach p. Franaszka, wyznam przecież, iż zamknięta księga żywota ks. Chamborda przejmuje mnie równie smutnem wrażeniem, jak przeczytana powieść Gogola o Akakim Akakiewiczu. I nieszczęśliwy burbon bowiem miał swój *szyniel*, o którym marzył i który mu się ciągle z rąk wymykał. Nazywano go „kopalnym *royem*,“ śmiano się z jego pretensyj i uporu. Ach, coby zrobił nawet poczciwy Konrad Prószyński, gdyby go ogłoszono „cudownem dzieckiem świata,“ gdyby dwory zatwierdziły jego tytuł „dziecka Europy“ i gdyby pięciodniowemu chłopcu ciało dyplomatyczne składało swe hołdy? Coby zrobił? Nie uznałby rewolucyi i rzeczypospolitej francuskiej, osiadł we Frohsdorfie, wydawał manifesty do narodu, kazał sobie co rana wdziewać uroczyście koszulę i mianować się *sire*. Dla widzów nieszczęśliwy maniak był zabawnym, tem nie mniej nosił on w swej piersi wielką tragedyę.

Doprawdy większą, niż p. L. Sowiński. Po długiem milczeniu poeta wystąpił w *Kuryerze Warszawskim* z dwoma sonetami: w jednym z nich potrącił o struny rozpaczliwej rezygnacyi, w drugim zwymyślał — ale jak strasznie zwymyślał! — „potępieńców ducha, co lutnie swe na złota nastrajają brzęk.“ Każdy z tych szarlatanów pieśni „na giełdzie czujnem uchem słucha: po czemu łza — po czemu śmiech — po czemu jęk?“ Jeden za grosz od wiersza wybucha rozpaczą, drugi za dwa opiewa wdzięki dziewic, inny za trzy grucha jak gołąbek:

O! psy, pospuszczane z opinii łańcucha!
Krainę pieśni przez was zdjął złowieszczy lęk...
Podajcie mi tu na nich rózg liktorskich pęk!...

Was, podli, wstyd i kląć... na łeb wasz trza obucha,
A gdyby tylko spadł, słyszelibyśmy dźwięk,
Jak dźwięczy miedź — i pękłby jako glina krucha.

Brr! Aż się zimno robi. Gdybym nawet nie znał strachu, to bym go przy tych słowach uczuł. Ale przeciw komu u licha ta kanonada złorzeczeń? Kto są te „psy pospuszczane z opinii łańcucha?“ Asnyk, Konopnicka, Czerwieński, Gomulicki, Grudziński, Jankowski i inni? Chyba nie. Śpiewają oni lepiej i gorzej, ale żeby którykolwiek z nich dostrajał swą lutnię do grosza, dwu lub trzech, o tem nie nie wiemy. Za swe wiersze biorą honorarium, no, ale brał je prawdopodobnie Homer, a niewątpliwie Goethe i Mickiewicz. Na kogo zatem „rózgi“ i „obuchy?“ Uspokójcie się dzieci Apollina — to... na nikogo, tak sobie... P. Sowiński należy do tych wieszczów, którzy nie zdążyli siąść na wóz swego czasu i dlatego biegnąc za nim, złorzeczą i wymyślają tym, którzy na nim siedzą. Autor *Satyry* już dawniej przeklął swój wiek, ale jak dawniej, tak i teraz nie wie kogo, a przynajmniej za co przeklina. Jego najeżone gniewem gromy spadają bez adresu, bez celu, uderzają w przestrzeń. Jest to mały Chambord poezyi naszej, pretendent bez tronu, który nie uznaje rewolucyi, jaka się spełniła w pojęciach, i który przyczynę rozbratu ze światem widzi w jego zepsuciu, a nie w swoim sztandarze. Dzisiejszemu pokoleniu nie ma on nic do zaofiarowania, prócz samobójczych wykrzyków i bezsilnych szamotań się. I on już widzi, że nie dosięgnie swego... szyniela, więc cierpi prawdziwie, a jako męczennik zasługuje na współczucie. Biedni ci wszelkiego rodzaju mohikanie! Niby rozbitków niesie ich kra na wartkim prądzie czasu bez nadziei ratunku. Przestańcie złorzeczyć nieszczęśliwi, żegnamy was z litością i nie rzucamy na was z brzegu kamieniami! Przebaczamy wam nawet gniewnie zaciśnięte i w górę podniesione pięście, bo one nikomu nie szkodzą a waszej rozpaczy zapewne ulgę sprawiają! Myśl ludzka weszła w porę mroźnego chłodu: odlatujcie więc ostatnie ptaki romantycznego stada, dla którego skwarne lato już minęło.

Tak samo pożegnałbym drzeworytników, którzy wycięli dla *Tygodnika Ilustrowanego* kopię *Hołdu pruskiego* Matejki, gdyby ich miejsce mogli zastąpić lepsi. Kilkakrotnie już na tem miejscu załamywałem ręce nad tworami warszawskiego rylca, który kiedyś rokował tak piękne nadzieje.

— Czego pan chcesz — rzekł do mnie pewien artysta. Ci ludzie biorą po 2 złote od cala kwadratowego i mają robić arcydzieła!

Było to niewątpliwie usprawiedliwienie naszych drzeworytników, ale nie ich prac. Chociażbym pozostał w swym głosie osamotnionym i chociażby wszystkie pisma strzelały z mozdzierzów reklamy na cześć przeróżnych premiów, nie przestanę utrzymywać, że drzeworyty warszawskie są w znacznej części liche. Proszę rozłożyć *Hołd pruski* w odbiciu *Tygodnika Ilustrowanego*: klisza olbrzymia, ale gdzie w obrazie geniusz Matejki? Tłum figur, ciętych grubo, bez delikatnych wycieniowań, bo rylec orał po drzewie jednostajne bruzdy, jak pług w roli. Dzięki tej grubej robocie zniknęła głąb przestrzeni, pozostała tylko wzorzysta płaszczyzna. Dość powiedzieć, dla wskazania szczegółów, że mały Zygmunt August stoi na ramionach Stańczyka. Matejko, jako kolorysta i jako zwolennik tłoczenia postaci, w drzeworycie stracić musi, ale w zagranicznych ilustracyach możemy widzieć reprodukcye, w których rylec staje się niemal pędzlem i w których zachowane są stosunki przestrzeni. Nie chcę lekceważyć dobrych chęci *Tygodnika Ilustrowanego*, nie chcę nawet zniżać jego premium do rzędu zwykłych fuszerek, ale sądzę, że w oceanie prac naszego drzeworytnictwa z wielką dla niego szkodą daliśmy krytycyzmowi nieograniczony urlop. Każdy numer ilustracyj warszawskich jest witany w Kuryerach salwami pochwał, a jeżeli czasem pokaże się przy nich jakiś dużego formatu dodatek, to już reklama ledwie z zachwytu dyszy. Co leży na końcu tej owczej chwalby? To, że niedługo, gdy chłopek ze Skępego wytnie kozikiem Matkę boską i odbije ją wjednej z ilustracyj, zawołamy chórem: i my mamy swoich Panemacherów!

Mamy, ale coraz więcej „rycerzy przemysłu“ kolejowego. Kiedyś, gdy rozpoczęto „odkrycia“ w gospodarstwie pewnej drogi żelaznej, ociągałem się z doniesieniem o pierwszych złapanych ptaszkach. Dziś owe „odkrycia“ związały się w tak długi łańcuch, każdy tydzień przynosi tak akuratnie nową wiadomość o wyśledzonych nadużyciach, że czytelnicy moi (bo ja tylko jestem w tym względzie niedyskretny), wkrótce, nie znalazłszy stałej wzmianki o świeżych łupach rewizyi kolejowej, pytać mnie będą: „cóż to, w ubiegłym tygodniu nic nie „odkryto?“ Ależ tym razem „odkryto,“ chociaż drobiazg! Ktoś tam zdążył roztrwonić zaledwie kilkanaście tysięcy rubli. Bagatela — nieprawdaż? Nas, przyzwyczajonych do magii na wielką skalę, do chowania w kieszeń ramp, mostów, wagonów, setek tysięcy korcy węgla i tym podobnych cudów, takie małostki dziwić nie powinny. Idlatego mogę poprzestać na pół-słówku.

Ale, ale.

Jeżeli Ganglbauer w liście pasterskim zachęca do obchodu uroczystości odsieczy Wiednia, to *Słowo* odtańczy pierwszego kontredansa z *Niwą* na wieczorze sylwestrowym w Resursie kupieckiej. Wiwat pani Ćwierciakiewicz! Het — het — idzie p. Walery Przyborowski i dojedzie do brzegu ziemi, gdyby ona nie była okrągłą. Ale przecież cytryna wie, czemu jest żółtą. Cóż dziwnego, że imbryk pokrywkę podrzuca, kiedy się w nim kawa gotuje? *Prawda* kicha, a *Kuryer Codzienny* mówi jej na zdrowie. Gdy zaś Lindley...

Co to jest? chcecie wiedzieć? Spróbowałem, czy umiałbym pisać „Pół-słówka“ do *Słowa* i przekonałem się, że wpadłem w takt jego logiki. Ktoś życzliwy przysłał mi jeden numer tej gazety, w którym na takim młynie zmielono *Prawdę*. Podobno autorem owych „pół-słówek“ ma być ksiądz. A cóż to za nieoceniony kaznodzieja w tych smutnych czasach!

Poseł Prawdy.

W PERSPEKTYWIE.

Rozkwit naszej solidarności nad granicą pruską. — Towarzystwo ubezpieczeń dla przemytników i ewentualne wymagania „stowarzyszeń“ złodziei. — Moja odpowiedź rycerzom brudnych chałatów. — Procesy społecznej asymilacyi.—Lekarz z okolic Monasterzysk.

Upragniona solidarność, której tak zazdrościmy żydom, zaczyna spajać nasze serca i napychać kieszenie. Przez długie wieki nie mogliśmy zdobyć się na trzech obywateli, którzyby nie mieli ochoty należenia do sześciu stronnictw naraz; sprowadzaliśmy sobie to szweda, to niemca, aby nam krwi upuścił; dla „miłej ojczyzny“ gotowiśmy byli wodzić się za łby i obcinać sobie uszy. Zdawało się więc, że warcholstwo jest naszą wadą narodową: okazuje się jednak, że to nieprawda. Na całem pograniczu pruskiem utworzyła się teraz partya, której niezachwiana spójność i zgoda w nieprzyjacielu nawet budzi uwielbienie. Zarzuciwszy hasła kłamliwe, stronnictwo to wzięło sobie za dewizę „dla miłego grosza“ i wypowiedziało zaciętą walkę akcyzie od wódki. Poczciwi kmiotkowie, nie ufając opiewanej przez poetów „ojczystej glebie,“ losy swe złożyli w rękach niemieckich fabrykantów gorzałki, którzy nietylko zakładają siedziby nad samą granicą, ale utworzyli nawet towarzystwo asekuracyjne dla... kontrabandzistów. Żyjemy w czasach, w których złodzieje zapragną nosić jakieś odznaki honorowe i zażądają osobnych dla siebie przedstawicieli w parlamencie.

Kowieński korespondent *Wieku*, opisując wódczaną klęskę swej okolicy, doradza zmniejszenie opłaty akcyznej w pasie nadgranicznym. Kierując się sobkowstwem, zgodziłbym się na przeniesienie zarazy przemytnictwa w głąb kraju; nie o to mi jednak chodzi w tem miejscu. Pragnąłbym tylko zwrócić uwagę czytelnika na samotrzaski, jakie sobie nasza cywilizacya zastawia. Z drugiej strony ten sam korespondent *Wieku* nauczyć nas może, co mamy trzymać o patryotyzmie i przekonaniach religijnych wszystkich band zbójeckich, które dzisiaj, częściej niż kiedykolwiek, przyswajają sobie nazwę spółek przemysłowych. „Żydzi, niemcy i my“ daliśmy sobie buzi tam nad granicą i pracujemy na zgubę naszych bliźnich i krajowego rolnictwa—tak zgodnie, jak gdyby p. Jeleński nigdy nie pisał swojej broszurki. Niemcy zakładają gorzelnie, towarzystwo ubezpieczeń dla przemytników i wyrabiają bardzo ładne „blaszanki“—do przenoszenia wódki; „katolickie pospólstwo,“ odmawiając po cichu koronkę do św. Antoniego, przekrada się chyłkiem przez granicę po drogocenny trunek, a usłużni żydkowie z otwartemi ramiony przyjmują

strudzonych Maćków i uwalniają ich od ciężaru blaszanek. Okazuje się z tego, iż apetyt do tak zwanej pracy nieprodukcyjnej nie jest wyłączną ozdobą pewnych cech rasowych: wyrabia się on na gruncie niektórych form społecznego ustroju—nawet w towarzystwie koronek i różańców. Co mnie najbardziej rozrzewnia tutaj, to wzorowy rodzaj pracy. Systematyczny niemiec, okradając innych, przysparza bogactw sobie i ojczyźnie; głupi chłop polski, nadstawiając grzbietu, tonie coraz głębiej w kałuży upodlenia i za to lichą stosunkowo otrzymuje zapłatę, nakoniec przemyślny żydek, nie ryzykując nic — „zarabia“ najwięcej i w chwilach dobrego humoru wynagradza przemytnika poufałem: „ty głupi Wojtek!“

Szkodliwość dla nas ciemnego żydowstwa usunąć jak wiadomo można przez zlanie się zupełne żywiołu izraelskiego z naszem społeczeństwem. Myśl tę pojął oryginalnie i w czyn wprowadził pewien podkasany półpanek z okolic Radzynia. Kupiwszy ładny majątek za otrzymane w posagu żony pieniądze, gospodarkę swą zaczął on od zupełnego wycięcia lasu. Spustoszenie to tak dalece było barbarzyńskiem, iż napełniło oburzeniem serca okolicznych obywateli. W naturze jednak nic się przez to nie zmieniło i po mokrej jesieni nastąpiła mroźna zima, podczas której trzeba było palić w piecu. Skąd tu dostać opału? Od dworu naszego bohatera w jedną stronę ciągnęła się piękna aleja z topoli nadwiślańskich... tam było wybawienie. Oddział „toporników“ zaległ drogę publiczną—i po pewnym czasie z pięknych topoli zrobiły się jakieś karłowate krzewy — z obciętemi wierzchołkami. Wszystkie te czynności dadzą się usprawiedliwić gwałtowną chęcią „zasymilowania się“. Każdy na zyski chciwy Mosiek, przyszedłszy do posiadania szlacheckiej fortuny nie byłby postąpił inaczej; ale sprzedanie za bezcen zboża na pniu i wyjazd na kuracyę do Ostendy — czego w tym roku dokonał właśnie ów magnacik—dowodzi, że się w nim stara krew i dawne nałogi z nową ozwały gwałtownością. Tak jest, „zlanie się“ z żydami przychodzi nam z trudnością.

Z niemniejszą trudnością przychodzi mi pisać ilekroć w polu mojej *Perspektywy* dojrzę plamę ciążącą na sumieniu ludzi wykształconych. Jedną z nich zobaczyłem przed chwilą.

W okolicach Monasterzysk mieszka pewien eskulap, którego dobrej sławie korespondent mój na własną odpowiedzialność zadaje cios morderczy. Życie dwu istot: matki i dziecka rzuciła chciwość w objęcia śmierci. Nie otrzymawszy obietnicy 15-rublowego wynagrodzenia od chorej włościanki, nie chciał się ten człowiek pofatygować o kilka wiorst z domu.

W szumie wiatrów zbliżającej się teraz jesieni, będziesz słyszał doktorze płacz pięciorga sierót, które owa kobieta opuściła, umierając. Kiedyż nakoniec społeczeństwa nie zechcą żyć na łasce jednostek?

Maryan Bohusz.

TEATR.

Dom otwarty, komedya w 3 aktach M. Bałuckiego. — *Ciurkiewicz czy Dziurkiewicz*, komedya w 3 aktach Abrahamowicza. — Występy pani Wisnowskiej na lwowskiej scenie.

W galicyjskim odłamie piśmiennictwa naszego najbujniej obecnie kwitnie satyra i ten humor pogodny, niefrasobliwy, który lubuje się w ośmieszaniu ludzkich słabostek. Nic w tem dziwnego, gdyż z jednej strony wiadomo, że po długim społecznym zastoju życie tameczne ma dość jeszcze dawnych i nowych chwastów, które pleć potrzeba, z drugiej zaś moralny widnokrąg społeczeństwa polskiego, przedstawia się względnie najjaśniej, więc pomimo ciężkich chmur moralnej i materyalnej biedy, najżywiej przebłyska promień wesołego słońca...

W cichej sferze życia podwawelskiego grodu znajduje Bałucki niewyczerpane źródło do wesołej drwiny, która ożywia najlepsze sceny nowej jego komedyi *Dom otwarty*. Nie silił się zaprawdę autor *Radców pana Radcy* na wyszukiwanie oryginalnych motywów akcyi do swej sztuki. Jądrem jej jest wieczór tańcujący w domu skromnego urzędnika, który idąc za wolą żony zapragnął także wystąpić na arenie światowej... Nic paradniejszego, nad obraz mieszczańskiej fetki, z całą galeryą komicznych froterów, zabawnych mamuń, z pysznym „aranżerem“ tańców, który kieruje gronem młodzieży z pod ciemnej gwiazdy... Ten pospolity przedmiot autor umiał wyzyskać z wielką pomysłowością i humorem, nagromadził sporo sytuacyi komicznych, które przewijają się w żwawym, tanecznym ruchu... Te pyszne sceny kreślone są trochę *grotesque*, ale obfitość szczegółów podchwycona niezmiernie żywo i prawdziwie... Na dnie wesołej drwiny tkwi pożądana dla mieszczuchów przestroga, aby dla zachcianek próżności, dla urządzania balów nie otwierali domu hałastrze, która wprowadza za sobą tylko zamęt i komeraże... Chociaż właściwie utworowi temu brak dramatycznego wątku, chociaż niektóre jego postacie malowane są nikle i blado, a w trzecim akcie autorowi nie starczyło już werwy, to jednak pierwszy akt i drugi, kipiący szalonem życiem, oraz dosadna charakterystyka wielu postaci, każą nam zaliczyć *Dom otwarty* do najszczęśliwszych płodów głównego przedstawiciela mieszczańskiej komedyi.

Wykonanie tej sztuki w teatrzyku „Nowy Świat“ nie zawsze świetne, miało jednak swoje zalety w scenach zbiorowych oddanych bardzo zabawnie, na tle których rysowała się głównie dobra gra p. Podwyszyńskiego w roli zamaszystego wiarusa.

Niezbyt świetnym płodem artystyczności galicyjskiej jest trzy aktowa komedya p. Abramowicza *Ciurkiewicz czy Dziurkiewicz*, w której autor niezdołał dość dobrze zużytkować szczęśliwego zresztą pomysłu. Chodzi tu o wydrwienie fatalnej manii wyprawiania hałaśliwych przyjęć i owacyi byle jakiej miernocie, podnoszenie fałszywych lub sztucznie rozdętych wielkości, o reklamowanie zaściankowych powag. W małym galicyjskim partykularzu zawrzał ruch niezwykły z powodu spodziewanego przybycia p. Dziurkiewicza, autora dwu niedorzecznych broszur treści społeczno-politycznej. Korzystając z tej okazyjki, miejscowi działacze kręcą się jak oparzeni, aby urządzić szumne przyjęcie z fanfarami, orkiestrami, mówkami, oraz całym aparatem krzykliwej blagi... Członkowie utworzonego umyślnie komitetu urządzają komiczną paradę, ale spotyka ich wielka kompromitacya, gdyż wszystkie hołdy przygotowane dla prowincyonalnego luminarza, składają młodemu szczęśliwcowi, który nosi miano różniące się tylko o jedną literę od nazwy oczekiwanej znakomitości... Zamiast Dziurkiewicza tedy wysłuchuje Ciurkiewicz wszystkich komicznych mówek, fanfar, salw z moździerzy. Ponieważ ta pomyłka pomaga mu w matrymonialnych zamiarach, przeto sprytny chłopiec korzysta z niej podstępnie, a gdy sprawa wyjaśniła się, nie traci rezonu i pali promotorom gaskonady perorę, aby niebawili się na drugi raz w urządzanie takich niedorzecznych komedyj.

Sztuka najlepsza i najruchliwsza w akcie trzecim, nie zaleca się co prawda świetnym rysunkiem figur, ale posiada wiele ciekawych szczegółów, odźwierciedlających stosunki miejscowe. Autor zdobył się na wcale dobry układ, wyzyskał kilka sytuacyj dość zręcznie, nakreślił parę scenek znośnie, ale w prowadzeniu całości nie okazał tego wybitnego talentu, który podnosi i ożywia nawet sytuacye pospolite. Prawda jednak, że koloryt wielu scen spłowiał i zbladł wskutek przeważnie słabej gry dramatycznego personelu trzeciej scenki, która potrzebuje koniecznego wzmocnienia sił, gdyż inaczej jej produkcye będą zawsze tylko sumą dobrych chęci a ironią wobec wymagań, jakie mamy prawo stawiać warszawskiej scenie.

Od różnych klęsk aktorskich, jakich ostatnimi czasy były świadkami deski naszych teatrów, jaskrawo odbija niezwykłe powodzenie, jakie we Lwowie zyskała panna Marya Wisnowska, artystka naszej sceny, która czterokrotnie ukazała się tam w gościnnych występach. Występy przyniosły artystce sporo scenicznych laurów i wywołały w prasie całą powódź teatralnego krytycyzmu.

Ponieważ *Prawda* niema miejsca na studya o grze aktorskiej, zatem nie będę się wdawał w streszczenie sądów mych lwowskich kolegów, którzy przy tej sposobności rozsypali całe zasoby swej wymowy i stylistyki. Panna W. występowała w swych najlepszych rolach z nowego repertuaru, te jest w *Tancerce*, *Pięknej*, *Świecie nudów*, *Dwóch światach* i *Broni niewieściej*—a wszystkie role zjednały jej gorący poklask.

S. K.

SMUTNY KONIEC*).

— Czego ta baba płacze? — zapytał dziedzic przejeżdżając wierzchem przez swoją wieś.

— Bo ją syn bije — odpowiedział jadący za panem kozak.

— Prawda — rzekł dalej — że baba radaby trzymać syna krótko, łaje go, jeśli mimochodem wstąpi do karczmy, ależbo i syn, znienawidzony Stefan Gajczuk, rad tylko ugania za molodyciami; matki nie szanuje a kiedy w czub naleje, za pierwszą przymówkę obłata matce boki buczkiem. Tak i dziś być musiało.

Dziedzic, milcząc, przejechał dalej. Zatrzymał tylko w pamięci numer chałupy, nazwisko matki i syna.

* * *

Nadeszła jesień a z nią i ukaz, tyczący się rekrutacyi. Z tej wsi kazano dać dwóch rekrutów. Złapano pierwszego lepszego a do niego przyłączono tego parobka, co bił własną matkę i o którym dziedzic nie zapomniał.

* *

W tydzień potem, w tejże wsi dzwon cerkiewny spraszał ludność na obchód pogrzebowy.

— Kto to umarł? — zapytał dziedzic kozaka.

— Mokryna wdowa — odrzekł.

— Była nie stara i zdrowa — rzekł dziedzic, cóż ją o śmierć przyprawiło?

— Zatęskniła za synem — odpowiedział kozak—i z żalu umarła.

Dziedzic stanął zamyślony.

* *

*) Z bogatej spuścizny po Stachu z Doliwy, zawierającej w 9 tomach wszystkie pisma zapomnianego poety a dopominającej się wydania ich na światło dzienne, wyjałem powyższy smutny obrazek, zdjęty prawdopodobnie z rzeczywistości, jako wczesny *objaw realizmu z pierwszej połowy XIX w.* charakteryzujący wyobrażenia i styl pisarza, który za słowa prawdy, bezwzględnie wypowiadane, zwłaszcza szlachcie i księżom, to do śmierci pokutuje. H. B.

Wracając z pogrzebu w godzinę potem ksiądz przyszedł do dworu.

— Co mi powiecie, panie ojcze? — zapytał go dziedzic.

Nieśmiało i jąkając się, ksiądz powiedział, że kiedy dysponował na śmierć wdowę Mokrynę, ta go zobowiązała pod zaklęciem, aby dziedzicowi oświadczył, że jej syn, oddany w rekruty, był jego przyrodnim bratem.

Mokryna, będąc jeszcze dziewką, służyła we dworze przed trzydziestu laty u ojca dzisiejszego dziedzica.

Dziedzic reszty nie słyszał, wzruszył ramionami i dawszy rubla księdzu, pożegnał go spiesznie.

* *
*

W sześć miesięcy potem rabusie napadłszy w nocy na dwór, czeladź powiązali, a wymógłszy w męczarniach na dziedzicu wyznanie, gdzie miał ukryte pieniądze, zabrali, potem dom podpaliwszy, dziedzica, niedomęczonego jeszcze, żywcem rzucili w ogień. Wszystkie śledzenia władzy rządowej były daremne, nie odkryto sprawców tej zbrodni. Wieś była wzięta w administracyę rządową, bo spadkobierców po zabitym dziedzicu nie było. W kilka lat sprzedano ją przez licytacyę. Nabywcą był jakiś bankier z Rygi.

* *
*

Z jego rozkazu dom przestawiono kosztownie. Spodziewano się jego przybycia przed nowym rokiem. W rzeczy samej przybył 31 grudnia wieczorem. Miał z sobą tylko jednego sługę. Tejże nocy nowo przybyły dziedzic wyszedł sam z domu. Nazajutrz rano spostrzeżono powieszonego trupa na gruszy w cmętarzu przy grobie Mokryny.

Był to przybyły bankier z Rygi, syn Mokryny, oddany przed 14 laty w rekruty Stefan Gajczuk.

Stanisław hr. Starzyński.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Warszawa, d. 4 września.

Zjazd w Salzburgu. — Zwołanie parlamentu niemieckiego. — Traktat z Anamem. — Rozruchy w Węgrzech i Chorwacyi. — Nowe przymierze.

Spotkanie się Bismarka z Kalnokym w Salzburgu uważanem jest powszechnie jako uzupełnienie zjazdu monarchów w Ischl. Dotychczas pozostaje tajemnicą przedmiot narady obu ministrów; na jedno tylko zgadzają się półurzędowi i prywatni kierownicy opinii, że to uroczyste stwierdzenie niemiecko-austryackiego przymierza, świadczące o jego trwałości, jest jedną więcej rękojmią utrzymania pokoju. *Gazeta Kolońska* w artykule, poświęconym salzburskiemu zjazdowi, utrzymuje nawet, że Francya nie jest wcale niebezpieczną, dopóki Rosya nie ujawnia wojowniczych zamiarów. Jakby na poparcie tego zdania, dzienniki niemieckie, napadające gwałtownie na Francyę, zmieniły nagle front i trąbią do odwrotu, miarkując ton i treść czynionych zarzutów. Spuszczona ze smyczy gadzinowa psiarnia zwraca się obecnie ku Rosyi, lecz obojętna postawa rządu petersburskiego wskazuje, że atak został chybiony i nawet odpowiedzi nie wywołał.

Zwołanie parlamentu niemieckiego zapewne było również próbnym balonem dla wybadania usposobień sąsiadów, a raczej strachem na wróble, bo trudno przypuścić, żeby jedynym jego celem była ratyfikacya traktatu handlowego z Hiszpanią, jak to zapowiedział minister Bötticher przy otwarciu sejmu. Ale i ten manewr zawiódł oczekiwania i żadnego wrażenia nie wywarł.

Z Tonkinu co chwila przychodzą jaknajsprzeczniejsze wieści. Zaledwie zdołano zaznaczyć fakt porażki francuzów, czyli, jak dowodzą ministeryalne gazety, użycia skomplikowanych ruchów wojennych, których nieświadomi w strategii i taktyce europejskiej anamici wzięli po prostu za odwrót, gdy oto telegram przyniósł wiadomość o zawarciu traktatu pokojowego z nowym cesarzem. Warunki tej umowy są podobno bardzo ciężkie dla Anamu, którego władca staje się w rzeczy samej wassalem francuskim, zależniejszym od rządu rzeczypospolitej, aniżeli nawet bej tunetański. Sceptycy jednak utrzymują, że ten z pozoru tak świetny układ, w istocie nie daje francuzom żadnych realnych korzyści. Głównymi ich wrogami nie są żołnierze anamscy, a bandy piratów i powstańców wspierane tajemnie przez rząd chiński. Jakkolwiek więc wojna urzędowa szczęśliwie ukończoną została, rozpocznie się teraz dopiero na dobre półurzędowa bijatyka, która nie mało ofiar w ludziach i pieniądzach kosztować będzie i w rezultacie doprowadzić może do zbrojnego starcia z Chinami, do którego według zdania sfer kompetentnych Francya odpowiednio przygotowaną nie jest.

Śmierć, która zabrała cesarza Tu-Duka i ułatwiła tym sposobem działania dyplomacyi francuskiej, usunęła obecnie i w Madagaskarze jedną z przeszkód do pokojowego zakończenia sprawy. Królowa hovasów umarła, a następczyni jej okazuje skłonność do zgody.

Zaburzenia w Węgrzech i Kroacyi nie ustają dotąd, trudno tylko wytłómaczyć sprzeczność między groźnemi doniesieniami gazet, a raportami władz policyjnych, nakreślającymi im skromniejsze daleko rozmiary. W każdym razie okazuje się, że ruch antysemicki przybrał więcej socyalistyczną barwę, obecnie uciekają już nie tylko żydzi, ale i właściciele ziemscy, a w wielu miejscowościach tłum rabuje i niszczy zarówno żydowską, jak i chrześciańską własność. Ogłoszony stan oblężenia nie dał pożądanych rezultatów, wiadomość o tem zbuntowana ludność przyjęła zupełnie obojętnie. Okazuje się również, że i rozruchy w Kroacyi posiadały nietylko narodowo - polityczny charakter. Oburzenie na urzędników fiskalnych miało źródło nietylko w umieszczeniu na gmachach instytucyi napisów w języku węgierskim, ale i w przeciążaniu ludności olbrzymimi podatkami. Rozwiązanie więc kwestyi napisów, chociażby w duchu przychylnym dla żądań patryotów chorwackich, zażegna chwilowo burzę, lecz przyczyny głównej nie usunie. Ale i na takie zakończenie sprawy nie zanosi się wcale. Rząd węgierski, bądź co bądź, postanowił napisy przywrócić i przed żadnymi środkami nie cofnie się. W celu wykonania tej uchwały zamianowany został feldmarszałek Ramberg komisarzem nadzwyczajnym i zastępcą bana, z nader obszernemi pełnomocnictwami. W ręku jego, aż do zupełnego uspokojenia kraju połączono cywilną i wojskową władzę.

Książę Czarnogórski powrócił z Konstantynopola w towarzystwie pełnomocnika tureckiego, mającego ostatecznie uregulować granicę dwóch świeżo zaprzyjaźnionych państw. Sultan podczas pobytu w Konstantynopolu przyjmował go z wielkimi honorami i nawet małżonkę jego obdarzył orderem. Jest to początek nowego zwrotu w polityce Porty, zbliżającej się coraz bardziej do Rosyi. Projektowany związek Turcyi, Bulgaryi i Czarnogóra ma być na półwyspie bałkańskim przeciwwagą dążeniom Serbii i Rumunii, ulegających podszeptom z Wiednia i Berlina.

CUDZE GŁOSY.

Polityka ziemiańska. Od dłuższego już czasu zajmuje się *Nowa Reforma* w sposób uznania godny rozbiorem ekonomicznych stosunków Galicyi. Autor artykułów tych zgromadził mnóstwo materyałów i niejedną niejasną wyświecił kwestyę, na niejedno złe zwrócił uwagę ogółu. Takiem złem jest np. lekceważony dotychczas objaw gwałtownego przechodzenia ziemi, zwłaszcza większych posiadłości, w ręce żydów, którzy w społeczeństwie galicyjskiem najmniej mają jeszcze dotychczas poczucia obywatelskiego i są żywiołem narodowym bardzo podejrzanym.

„Carey mówił irlandczykom — powiada *Nowa Reforma*—że kto ziemię eksportuje, ten sam wnet będzie się musiał eksportować. Ta emigracya wydziedziczonych trwa u nas ciągle w sztucznej progresyi. Proszę spojrzeć na Podole—w zachodniej Galicyi, w powiaty tarnowski i pilzneński. Żyd likwiduje teraz swoje pretensye. Że lichwić nie wolno, więc kupuje ziemię, która mu teraz więcej przyniesie. Wszędzie pełno dzierżawców żydowskich, którzy dobijają się o ziemię i płacą lepiej, niż ktokolwiek. Dzierżawca bierze dzierżawę z intencyą kupienia wsi i dwa razy na trzy wypadki, kupi ją z pewnością. Podczas ostatnich wyborów do sejmu, pomiędzy uprawnionymi do głosowania „z wielkiej własności" było w samym tarnowskim okręgu 30 żydów! W tarnopolskim stosunki jeszcze gorsze. Potrzeba nam „statystyki wydziedziczenia"— to dopiero nam może oczy otworzy. Nie zapominajmyż, że tych wyborców z wielkiej posiadłości jest wszystkich raptem 1930 w całym kraju! Cóż będzie za lat dziesięć, jeżeli już dzisiaj są okręgi wyborcze, w których jest 30 żydów?.."

Smutnemu stanowi rzeczy, winna, zdaniem *Reformy*, polityka „ziemiańska," przykuwająca szlachcica wyłącznie do roli. Pismo krakowskie nawołuje więc do przemysłu, zwłaszcza, że własność tabularna nie będzie już wkrótce przynosiła żadnego dochodu; dziś bowiem z czystej intraty, wynoszącej 18 milionów złr., opłaca ona 10 i pół miliona procentu od długów hypotecznych w sumie przeszło 150 milionów guldenów. Stosunek ten pogarsza się z każdym rokiem.

Est modus in rebus. Dla obciążonej opłatami Galicyi nie tyle uciążliwymi zdają się być podatki rządowe, ile dodatki do podatków na potrzeby krajowe. Wzrastają one niemal z każdym rokiem. Obecnie stosunek dodatków do podatków przedstawiał cyfrę 27 : 100, na przyszły rok projektuje Wydział krajowy 32 z powodu tegorocznego niedoboru. *Czas* zwala winę na rząd, który podał fałszywy wykaz podatków; *Dziennik polski* zaś na sejm, który liczne w ostatnich czasach uchwalił budowy dróg i gmachów publicznych a koszta opędzać chce z bieżących wydatków. Postępowania takiego *Dziennik* nie uważa za racyonalne.

„Wszelkie potrzeby — powiada—tyczące się nietylko teraźniejszości, ale i przyszłych generacyj, powinny być pokrywane nie jednorazowymi nakładami z funduszu krajowego, z dodatków corocznych, ale sposobem amortyzacyjnym, w czem instytucya taka, jak bank krajowy, który fundusze swoje oddawać musi na lada jakie oprocentowanie bankom i zakładom prywatnym, mogłaby być pomocną. Gdyby się tej metody trzymał był Wydział krajowy przy budowie Kulparkowa i przy stawianiu gmachu sejmowego, to dziś wymagania budżetu krajowego nie doznawałyby takiej trudności, jakiej doznają. Przyszłą komisyę budżetową czeka tedy wielkie zadanie: wydzielenie z preliminarza wszystkich takich wydatków, któreby się dały opędzić nakładem w formie pożyczki amortyzacyjnej. Tylko tym sposobem będzie można uchronić budżet krajowy od konieczności znaczniejszego podwyższenia stopy dodatków."

Powyższy projekt *Dziennika polskiego* ma za sobą wiele racyj. Pominąwszy, że zredukowanie dodatków będzie dla kraju wielką ulgą, trzeba jeszcze i to mieć na względzie, że niechęć, jaką żywi znaczna

(nieoświecona) część opodatkowanych do instytucyj autonomicznych, na których potrzeby obracane są dochody z dodatków, zmniejszy się skutkiem tego niewątpliwie. Jest to zresztą zupełnie sprawiedliwem, aby w wydatkach na przedsiębiorstwa publiczne, z których korzystać będzie także potomność, część ciężaru spadała i na potomnych.

KRONIKA BIEŻĄCA.

Międzynarodowa wystawa sztuk pięknych urządzona będzie w Petersburgu w 1885 r.

Prawodawstwo fabryczne. Komisya, opracowująca nową ustawę o robotnikach fabrycznych, określiła wyraźnie warunki odpowiedzialności przedsiębiorców. Odpowiedzialność materyalna obciąża fabrykanta za własne jego czyny i za czyny osób, którym powierzył zarząd lub kierunek robót; osobista zaś wtedy tylko, gdy sam zarządza robotami. Wysokość wynagrodzenia zależy od dobrowolnej umowy stron, a w razie sporu, od określenia sądu, ale wypłacenie jego od odpowiedzialności osobistej nie uwalnia.

Subsydyum dla teatrów. Wskutek przedstawienia generał-gubernatora warszawskiego, zmniejszone do połowy subsydyum dla teatrów rządowych w Warszawie, ma być przywróconem do poprzedniej normy, t. j. wynosić będzie 60,000 rs. rocznie.

Prasa polska. Od Nowego roku mają wychodzić dwa jeszcze nowe pisma: *Przegląd cukrowniczy* i dwutygodnik poświęcony wyłącznie nekrologii.

Prasa rosyjska. W Petersburgu ukaże się wkrótce pierwszy zeszyt specyalnego czasopisma p. t. *Antropołogiczeskoje Obozrenije* (Przegląd antropologiczny).

Bibliografia polska. Juliusz Sypniewski *Międzynarodowa wystawa zwierząt gospodarskich w Hamburgu.* Warszawa. (Odbitka z *Gazety Polskiej*).

— Walery Przyborowski *Najazd o cześnikównę* — Kraków.

— Estrejcher *Bibliografia* XV—XVII w. Tom VIII, Zeszyt III i IV.

— Zaborowski, *Człowiek przedhistoryczny*, przekład z francuskiego (Wydawnictwo *Wędrowca*) Warszawa.

— Walery Rzewuski, *Gdzie postawić pomnik Mickiewicza*, Kraków.

— Broniewski. *Tablice graficzne.* Ark. II, wiek VII i VIII.

— A. J. Parczewski, *Jan Ernest Smoler*, ustęp z historyi narodowego odrodzenia górnych Łużyc — Warszawa.

— Kazimierz Krasicki, *Pszczelnictwo* (wydawnictwo Macierzy). Lwów.

Bank włościański ogólno-państwowy udzielać będzie jedynie pożyczki na kupno ziemi. Do korzystania z kredytu mają pierwszeństwo włościanie bezrolni i małorolni, normą zaś do ustanawiania jego wysokości będzie podatek gruntowy, ale wysokość mnożnika oraz warunki umorzenia nie zostały dotąd określone. Pożyczki brać mogą nietylko osoby pojedyncze, ale również gminy i gromady za solidarnem zobowiązaniem członków. Z sumy, przeznaczonej jako kapitał zakładowy banku na Królestwo Polskie, przypada 4.000,000 rs.

Nowy pomysł. W Ameryce powstało towarzystwo ubezpieczenia szczęścia w pożyciu małżeńskiem. Nowa instytucya (*Matrimonial Protective Assurance Comp.*) nieszczęśliwym żonom i mężom, za wszelkie zawody i rozczarowania wypłacać będzie pewną sumę, od której pobiera zwykły procent asekuracyjnoy.

Zmarli: Iwan Turgeniew (ur. w 1818 r.), w Bougival pod Paryżem.

Statystyka procesów politycznych. *Kraj* z gazet petersburskich podaje następujące cyfry. W przeciągu ostatnich lat dwudziestu od 1861 r. aż do marca 1882 (zabójstwo Strelnikowa) skazano: w procesie Nieczajewa 64 osoby, Karakozowa — 35, moskiewskich socyalistów—50, w „sprawie 193“—100. W pozostałych cyfra osądzonych waha się od 1—21; ogółem 382 osoby: mężczyzn 320, kobiet 62. W tej liczbie było szlachty 172 (m. 128, k. 44) czyli 40%, kupców 23 (m. 19, k. 4) czyli 6%, mieszczan 43 (m. 36, k. 7) czyli 11%, synów i córek księży prawosławnych 34 (m. 30, k. 4) czyli 9%, włościan 42 (m. 40, k. 2) czyli 11%. Pomiędzy skazanymi było studentów i uczniów 59 (m. 57 k. 2) czyli 16%, co dowodzi, że przypisywany młodzieży uczącej się udział w sprawie rewolucyjnej nie ma podstawy. Cyfry powyższe nie są jednak dokładne, bo od marca 1882 r. odbyło się kilka procesów, w których jak w osądzonych przed paru miesiącami w Petersburgu i Odessie, lub w rozpatrywanym obecnie w Kijowie figurowało po 20 osób.

OFIARY.

Na pomnik Mickiewicza. Uczniowie kl. VIII-ej rs. 8 Helena Malewska z Białej Cerkwi rs. 2, L. K. z Modelu rs. 1 kop. 80, Z. O. T. W. J. B. wygrane w karty z Modelu rs. 2 kop. 20, A. Szczycińska z Ekaterynburga rs. 1.

Na Kasę imienia Mianowskiego. Antoni Sokołowski z Burzanki rs. 5.

Na kolonie letnie. Paszkowska rs. 3, w cukrowni olchowieckiej zebrane rs. 13.

Na budowę domu Tow. Sztuk Pięknych. Wacław Łopuszyński z Petersburga kop. 50.

Dla biednych. Helena... rs. 1. Z Mińsk. gub. Potocki kop. 50.

Na wpis dla biednych uczniów. Bezimiennie rs. 10, A. Z. rs. 2, Bezimiennie rs. 3, Prenumeratorka rs. 1.

Sprostowanie W nrze poprzednim, str. 415, szp. 3, w. 22 zam. z greckiego, czytaj: z *gockiego*.

Druk K. Kowalewskiego, ulica Królewska Nr. 23. Дозволено Цензурою. Варшава, 26 Августа 1883 г. Redaktor i Wydawca, dr. fil. A. Świętochowski.